№ 52. Warszawa, dnia 17 (29) Grudnia 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

UWAGI KOBIETY

nad dziełem D-ra Edwarda Reicha

Studya nad kobietą.

(Dokończenie).

Nim jednak nadejdzie ów wiek złoty, w imię którego apostoł Reich rozpoczął tak wspaniałą krucyatę, długo jeszcze głód i pragnienie z jednej strony, a żądza używania rozkoszy z drugiej, będą reprezentować dwa wrogie żywioły, walczące o lepsze ze sobą; niechże więc nam wybaczy, że ośmielamy się oczekiwać więcej dobrego od ekonomistów, jak od katońskiej sprawiedliwości autora, karcącego surowo potentatów pieniężnych za ich złość i niesprawiedliwość. Skut k tego apostolstwa jest tem wątpliwszy, że prawdopodobnie żaden z owych nabobów nie znajdzie wolnej chwilki śród użyciem zapełnionego życia, na przeczytanie utworu swojego pogromcy.

Konserwatyści nasi przybrali odmienny rodzaj taktyki. Według ich mniemania, kwestya kobieca nie ma u nas prawa obywatelstwa, po pierwsze dla tego, że nie jest swojskim wynalazkiem, lecz płodem imaginacyi obcej, po drugie dla tego, że inicyatywa jej nie wyszła bezpośrednio od kobiet, tylko od młodych ludzi obałamuconych zagranicznemi ideami. Że inicyatywa podobna nie mogła wyjść od nas samych, nie ma nad to nic naturalniejszego, pewnem jest bowiem jak dwa a dwa cztery, że mężczyźni którzy dzierżą w swem ręku monopol prasy, nie zechcieliby przyzwolić na podawanie do druku jakichś inowacyi liberalnego pokroju, wyszłych z pod kobiecego pióra; twierdzić atoli że ci którzy się pierwsi odezwali za nami uczynili to z pobudek naśladownictwa, znaczy tyle, co zaprzeczyć uczuć sprawiedliwości i uczuć ludzkości tym panom. Czy zatem i dwa te szlachetne uczucia należy uważać za płody obcej imaginacyi, niewłaściwe naszej narodowości? Co do pierwszego punktu odpowiem, iż kwestya kobieca, równie jak wszystko co dotyczy ludzkości zbiorowej, nie może być ani swojskiem, ani nie swojskiem zjawiskiem, lecz odznaczać się musi cechą powszechności.

Newton był anglikiem a Kopernik polakiem, a jednak prawo ciążenia pierwszego a system planetarny drugiego przyjął każdy osierocony naród, nie troszcząc się o patryotyczne namaszczenie każdej z tych idei. Na tej zasadzie śmiem twierdzić, że wszędzie gdzie się znajduje aby jedna jednostka kobieca, już emancypacya kobiet ma niezaprzeczone prawo bytu. Jakby na przekor jednak arcy patryotycznemu sumieniu owych panów, Tygodnik Mód z r. b. w N-rze 26 pisma swego, w artykule noszącym tytuł: Studya z literatury polskiej przez L. S. W. O niektórych najważniejszych książkach, podaje co następuje.

„Andrzej Glaber z Kobylina w 1535 r. dedykuje Hedwidze z Kościelca kasztelance Żarnowskiej swoje dzieło p. t. Problemata Aristotelis, i co najważniejsza w przedmowie występuje jako pierwszy u nas zwolennik emacypacyi kobiet, ale tylko na polu umysłowem, dopominając się energicznie o udzielenie kobietom przystępu do wszystkich, nawet najwyższych nauk."

Tą wiadomością uspokojeni choć przez pół nasi rodzimi przeciwnicy kwestyi kobiecej, kto wie czy nie zaniechają tak nieubłaganego prześladowania nas w pismach i z katedr — może nie zechcą tak bardzo krzywo patrzeć na kobietę lekarza, jeśli się kiedy jaka u nas pojawi. Tylko — gdzie tam, oni gotowi wmówić w siebie, że Glaber nie był czystej krwi polakiem, bo nie kończy się na *ski.* Prawda—zapomniałam, i Kopernikowi brakuje tej patryotycznej końcówki... to naszą kwestyę chyba nieodwołalnie zbawi.

Oglądając się w przeszłość, nieraz zdarzy nam się zasłyszeć, jak to niegdyś, niejeden brat szlachcic, dla którego godłem obywatelskiem był miecz a nie pióro, podpisywał uchwały sejmowe krzyżykiem, lub pieczęć kładł z herbem, wyręczając w ten sposób nieumiejętność pisania. Z tem wszystkiem, nie perswaduje nikt chłopcu, aby dał pokój nauce. A jaki to gwałt się podnosi, gdy biedne dziewczę, żądne wiedzy, zamarzy o uniwersytecie. Jakie szumne sypią się reklamy na cześć zasług naszych prababek, co po akademiach nie bywały, a za to cnót domowych i obywatelskich godnie strzedz umiały.

Rzecz niepojęta, dla czego ta tradycya i ten patryarchalizm dopiero w całej pełni występują tam, gdzie o wyzwoleniu kobiety jest mowa.

Ale, ale, ciekawam bardzo, czy nędza naszych kobiet po miastach, czy proletaryat wytworzony ostatniemi czasy po prowincyach, skutkiem przeprowadzenia reformy włościańskiej, a zmuszający masę kobiet do szukania o własnych siłach środków utrzymania życia, ciekawam czy pozostałe po ubogich pracownikach wdowy, niezaradne, bo na wszelkiego rodzaju nieprzewidziane ewentualności nieprzygotowane odpowiednio, więc żebrzące współczucia i wsparcia dla siebie i nieszczęsnej osierociałej dziatwy... czy to mają być też nie czysto swojskie, nie czysto miejscowe warunki, i czy wytworzyło je ślepe naśladownictwo obczyzny?

Po odczytaniu *dictum* pana Glabera z Kobylina, cóż pozostaje nam, jeśli nie przyznać, uderzywszy się w piersi w pokorze ducha, że ponieważ nie umiemy w danej chwili korzystać z pomysłów własnych podanych w oryginale, ulegać musimy nieuniknionej konieczności asymilowania ich kopii przepuszczonych przez zagraniczne alembiki.

Nieszczęsna ta emancypacya, ośmieszona wprzód nim zrozumiana, cóż dziwnego ze stała się przedmiotem szyderstwa? Mało kto pojmuje przez eman-

cypacyą usamowolnienie — oswobodzenie, jak chce etymologia tego wyrazu, rozumieją wszyscy przez nią tylko ekscentryczność. To też rzecz naturalna że wiele kobiet (jeżeli nie u nas to zagranicą) idących za wskazówką ogółu, a pragnących odznaczyć się, bądź co bądź — dopuszczają się nieoględnie różnych niewłaściwości pod firmą emancypacyi.

Kobiety te nie błądzą ze złych pobudek, one po prostu nie wiedzą, że emancypować się, to znaczy zdobywać sobie na drodze ustępstw legalnych, możność używania wszelkich praw ludzkich, posługujących dotychczas li tylko mężczyznom. Im się zdaje, że aby zostać człowiekiem, dość jest wedrzeć się w atrybucye męzkiego stroju i męzkich obyczai... i w tej pomyłce leży cała ich wina. Biedne, one nie domyślają się jak wielką krzywdę postępowaniem swem wyrządzają godności osobistej i miłości własnej kobiecej, nie rozumieją, jak dalece obrażają tem prawdziwą kobiecą dumę, a co najboleśniejsza, nie czują, iż w podobny sposób przedrzeźniając mężczyznę, przeczą bezwiednie idei, zasadzie, duchowi emancypacyi, ponieważ czynem dowodzą, że się nie uważają za upoważnione do posługiwania wolnością i prawami tych, którym te posługują.

Godnem jest ze wszech miar zastanowienia, że właśnie ci wszyscy, którzy najmocniej wierzą w niemożliwość emancypacyi kobiet, najwięcej się nią niepokoją. Zamiast zaprzątać się aż do zbytku tą kwestyą, czy nie bardziej na miejscu byłoby pozostawić jej przebieg — rozwojowi naturalnemu, na straży którego stać zawsze będzie, linia demarkacyjna różnic płciowych.

Krępowaniem woli i swobody działania jednostek, nie dojdziemy do niczego, albowiem dzisiejszy duch czasu, nie znosi już nic takiego co tchnie przymusem.

Chwalebna bezstronność z jaką D-r R. traktuje kwestyą prostytucyi, niezaprzeczony przynosi mu zaszczyt. Mówić się zwykło na świecie: gdyby nie było niemoralnych kobiet, nie byłoby niemoralnych mężczyzn. Otóż w tem wszystkiem co mówi autor Studyów, czuć wyraźnie, że zdanie to podług niego dźwięczy odwrotną logiką. I prawda. Bo cóż w gruncie rzeczy jeśli nie zupełna nieodpowiedzialność mężczyzny w obec opinii publicznej, wywołuje upadek kobiety. Wszak z dwóch odmiennych płci, oddziaływających wzajemnie na siebie, składa się ludzkość. Moralność obowiązuje jedną z nich tylko — drugiej wolno być niemoralną, ale dla tej drugiej współudział pierwszej staje się niezbędnym — więc z konieczności rzeczy wypływa, że zadaniem, że usiłowaniem całego życia mężczyzny, będzie ustawiczne dążenie do zdemoralizowania każdej napotkanej na swej drodze kobiety.

Jeżeli z upadku dwojga ludzi, jedno powstaje poniżone — drugiemu pozwalają stąpać dalej z wypogodzonem obliczem i z miną tryumfatora... jeżeli jedno depczą pod stopami, drugiemu przyklaskują... jeżeli za błąd wspólny popełniony w chwili szału, uniesienia, zapomnienia, nie silniejszego i umysłowo wyższego, ale słabszą i tkliwszą prześladują—a prześladują nieubłaganie, ścigając bez wytchnienia aż do grobowej deski, a często i po za nią jeszcze — tamując brakiem miłosierdzia, brakiem wyrozumiałości, możność zwrócenia się ku dobremu, nie jednej z tych nieszczęśliwych — to i cóż w tem tak nadzwyczajnego, że niemoralną jest ludzkość?

Pielęgnujemy jak najtroskliwiej serce w dziewczynce, rozwijając w niej czułość kosztem wszystkich innych władz umysłowych — w chłopcu nazywamy ją ślamazarstwem — i uderza nas ta nierozwikłana psychologiczna zagadka, dla czego pomimo całej surowości opinii, podnoszącej—wbrew słuszności, wbrew logice — poczytalność u kobiet do maximum, pokusom serca ulega tak łatwo, ulega tak często kobieta?

System połowiczny przyjęty jako podstawa względów moralnych, jest w obec zasady czystej moralności fałszywą nutą, a pokąd ona brzmieć będzie, prawdziwe umoralnienie ludzkości jest do przeprowadzenia niepodobnem.

D-r R. nie wahał się wypowiedzieć, że za bezpośrednią przyczynę złego uważa mężczyznę. Dla tej to słusznie i sprawiedliwie podjętej idei, książka D-ra R. zasługuje na powszechne uznanie. Gdyby pod jej wrażeniem choć kilku ojców rodziny ocknąć się zdołało — gdyby pod jej wpływem choć kilku z nich wytknęło swym synom wznioślejsze ścieżki żywota, niż te po których, po największej części stąpa młodzież dzisiejsza, już zasługa jej będzie ogromna.

F.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział VIII.

Przy jednej z ulic Warszawy, w oficynie na drugiem piętrze a raczej pod strychem, mieszkało w pokoju dość obszernym trzech kawalerów, różnych niezmiernie usposobień, żyjących jednak w najprzykładniejszej zgodzie. Umeblowanie było nadzwyczaj skromne: trzy łóżka, duża szafa, druga mniejsza, trzy kufry bardzo zwyczajne, stół, kilka krzeseł zniszczonych i jeden fotel wybity podartym już safianem, składały cały sprzęt domowy. Na murku stał samowar pochylony z braku nóżki, karafinka z nadtłuczoną szyjką, kilka szklanek różnego kalibru, parę lichtarzy żelaznych zakapanych łojem, a na ziemi miska, dzbanek, szaflik i szczotki od butów z puszką szuwaksu. Z łóżek równie skromną zasłanych pościelą, jedno odznaczało się pewną wystawnością, miało bowiem na pierzastej poduszce drugą safianową, kołdrę czerwoną atłasową, dywanik na podłodze a przy boku mały stoliczek ze stojącą na nim fotografią jakiejś młodej i ładnej kobiety. Na ścianie wisiało także kilka litografii młodych równie kobiet, jakby świadczących, że właściciel jeżeli nie jest lwem warszawskim to pragnąłby za niego uchodzić.

Choć to był ranek niedzielny nie było go jeszcze w domu, a łoże nietknięte świadczyło że nikt na niem nie spoczywał.

Przy oknie w głąb ściany wpuszczonem, siedział w owym jedynym fotelu, młody człowiek, z ciemnemi włosami, długą szyją, grdyką jak gałka i z twarzą skrzywioną jakby po wypiciu lekarstwa. Przy policzkach bladych i zapadłych miał wąsiki niebardzo bujne i bródkę hiszpańską dość malowniczą, na sobie stary szlafrok, na nogach podniszczone kalosze zamiast pantofli a na głowie paciorkową czapeczkę.

Był to pan Mieczysław, przezywany przez swych towarzyszy dla długości szyi, Żyrafą albo sędzią gdyż był aplikantem sądowym. Czasami nazywano go uczonym, jako posiadającego patent akademicki i probującego sił na polu literackiem, że jednak na pierwszym zaraz podskoku z literaturą mu się nie powiodło, wziął z nią rozbrat przyrzekając założyć w przyszłości pismo peryodyczne na własną rękę. Staremi literatami gardząc jako niedołęgami, młodych nienawidził za brak współczucia dla swoich fabrykatów piśmiennych. Dając lekcye i dojadłszy szczątki małej fortunki po rodzicach pozostałej, czekał na posadę kwasząc się, nudząc i narzekając na świat, ludzi i losy ciągle go łudzące nadzieją. Jako wyznawca pozytywizmu, nie zabawiał się wcale mrzonkami nie mającemi gruntu realnego. Przeszłość i przyszłość cenił o tyle o ile te w związku były z obecnością i z jego spodziewanem położeniem socyalnem: społeczność zaś własną a nawet całą ludzkość uważał jedynie za podsiedlisko, na którem zmuszony jest żyć i wyrastać jak zwierz lub roślina. Starał się zatem wydobyć z niego w jak najbujniejszym kształcie, aby depcząc drugich lepiej mu było od tych paryów skazanych na deptanie. Wygórowanych jednak zbytecznie pragnień nie miał, z pareset rubelków miesięcznego dochodu, wygodne mieszkanko, ciepły szlafroczek w domu, za domem okaźne futerko, młoda i ładna żonka, grono niewielkie przyjaciół, wiścik wieczorem przy dymiącym samowarze, oto marzenia któremi się jedynie zaprzątał, rozbierając środki najskuteczniejsze do ich urzeczywistnienia. Jednym z nich najważniejszym było posażne ożenienie: w początkach marzył o krociach, ale w krótce uznał że przesadził w żądaniu i spadając jak papier procentowy, doszedł wreszcie do wniosku, że panna choćby nieposażna byle własną pracą zarabiająca na utrzymanie nie jest do pogardzenia. Ale i w tym kierunku szło mu uporzywie: czekał więc na etatową posadę z niecierpliwością kani jak powiada przysłowie, wyglądającej deszczu. Tymczasem wywiadywał się, przeglądał, zachodził do sklepów i magazynów, szafował westchnieniem i spojrzeniem ze szczodrością największego marnotrawcy, nic jednak upatrzeć nie mógł coby w zupełności odpowiadało jego życzeniu.

— Najlepsza, myślał sobie, byłaby właścicielka sklepu, z widokami jego rozwoju. Posuwając się coraz wyżej i wyżej w urzędowaniu, jednocześnie męzką głową szedłbym w pomoc handlowem operacyom mej żony. Innicyatywa zatem zawsze wychodziłaby ode mnie do jakiej kobieta nie jest zdolną.

Ta wiara w swoją wyższość nad całym kobiecym rodem, była jego niejako dogmatem religijnym; w prywatnych też z niemi stosunkach posługiwał się chętnie wyrażeniami prawnemi i terminami filozoficznemi, z których jeden: walka o byt, z ust mu nigdy nie schodził. Znał przytem doskonale porządek ksiąg hipotecznych i umiał w nich szperać z cierpliwością myśliwca, szukającego w gąszczu ukrytej dziczy. Miernych zdolności coś niby umiał i wiedział, ale bez składu i ładu, jakby z każdej nauki przeczytał jedną kartkę a połowę z niej tylko zapamiętał.

Drugi jego towarzysz zwany Maciusiem albo Pączkiem, niższy wzrostem z pucołowatą twarzą starannie wygoloną i jasnemi włosami, był uosobieniem niedbałości o to co będzie jutro lub pojutrze. Zawsze swobodny i nienarzekający, gdy miał nie żałował na nic, gdy w kieszeni były pustki, krzywił się ale nie tracił humoru. Dependując u jednego z obrońców sądowych, zdawało mu się że w tej pozycyi wieki pozostanie a gdy czasem zrobiono mu uwagę o potrzebie zabezpieczenia przyszłości, nie sprzeciwiał się, przyrzekał odpowiednie starania i na tem kończył wszystkie zabiegi. Oprócz praktyki sądowej nic

więcej nie umiejąc, był o tyle niższym od Mieczysława, że nie znał nawet tytułów dzieł naukowych. Wiedział że pozytywizm jest w modzie, ale śmiał się z niego i wyszydzał jako zaczepiającego jego przekonania religijne jeszcze z domu wyniesione. Dobrego niezmiernie serca, ostatnim groszem podzielił się z potrzebującym, ale podobnej pomocy i od innych wymagał gdy rady na wydobycie się z biedy sam w sobie nie mógł znaleźć. Rzadko jednak przychodził do tej ostateczności i zwykle częściej wspomagał jak szukał pomocy. On to Mieczysława przezwał uczonym i słuchając jego dowodzeń cały gmach społeczny walących w ruiny, nie umiejąc odeprzeć rozumowaniem, gniewał się, hałasił na przeciwnika i drwił z jego mniemanej uczoności.

Trzeci wreszcie nieobecny wspólnik jednego mieszkania, był Stanisław ów narzeczony Józi, który Franka tak na nią ogromnie obraził. Przez towarzyszy zwany Lampartem, tytuł ten jak najzupełniej usprawiedliwiał. Sprytny, rzutki, wygadany, łatwy do burdy i ochoty, w zabiegu o zysk mający węch ogara, drący łyka gdzie się dało, nie był niczem a jednak na brak nigdy nie narzekał. Kiedy go pytano z czego żyje, zwykle odpowiadał:

— Z czego chcecie, ze wszystkiego, ze sprytu i urody, z postawy i zabawy. Tu interesik tam preferansik, tu gerlasik tam westchnienie, tu śniadanko, tam uścisk rączki, tu obiadek a tam wyręczenie, i tak idzie choć się pensyjki nie bierze ani nie wyczekuje na etacik.

Był to mężczyzna w samej sile wieku w połowie trzeciego dziesiątka w równych prawie latach co jego towarzysze: przystojny, rosły, zgrabny i żartobliwy, umiał się zawsze sprzedać jak najkorzystniej nawet, nadstawić pewną uczonością. przy pomocy wyrazów i myśli pochwytanych od Mieczysława, i jeżeli ten był jak bibliotekarz znający tytuł każdej książki, Stanisław był podobnym do jej posługacza, co to Bogu ducha winien a czasem prostaczków w wielki podziw wprowadza. Temi prostaczkami byli dla niego wszyscy bez wyjątku: więcej inteligentnych przekrzyczał, mniej umiejących olśnił wymową a u nic nieumiejących obudzał podziw śmiałością wyrażenia. Bez żadnych zasad o wszystkiem wątpiąc, bo wszystko co mu dotąd wmawiano szacunek i poważanie, widząc potrącane i lekceważone, nie umiejąc stworzyć nowego ideału coby go utrzymał w godności ludzkiej, wierzył tylko w rubla i jego potęgę i że w walce o byt będącej przeznaczeniem wszystkich żyjących istot na ziemi, począwszy od nędznej trawki aż do człowieka, godziwemi są wszystkie środki prowadzące do celu, choćby tysiące koło siebie przyszło zdeptać i stratować. Pod tym względem niezachwiany w przekonaniu, gruntując je nowemi nabytkami w rozmowach i dorywczem czytaniu, wierzył że jakimś nadzwyczajnym wypadkiem, sukcesyą, bogatem ożenieniem, szczęśliwie doprowadzonym interesem, wreszcie wygraną w karty lub na loteryi, przyjdzie z czasem do krociów i bogactwa. Spryt w jaki był zaopatrzony ręczył mu za jego powodzenie; gardząc też małemi dorobkami używał życia w całej pełni swoich zachciewek, ale nad podziw gospodarny, tak umiał rozporządzać się że mu nigdy grosza nie brakło. Tymczasem oglądał się po świecie, badał, szperał, szukał, korzyści choćby najmniejszej nigdy nie odrzucał i ludzi uważając za pionki na wielkiej szachownicy życia nawet z pustej flaszy umiał wysączyć kilka kropel dających mu choć chwilowe zadowolenie.

Był to więc organizm spaczony podniesiony w samolubstwie na szczyt, z którego spada się do nędzy lub zbrodni. Ze świata wziął wszystko co robi kaleką moralnym, nic co podnosi i uszlachetnia. Młodość łaknęła, zasady trawiły, pragnął życia dla jego uciech i rozkoszy nie dla ducha, żądał bogactwa dla urzeczywistnienia swoich pożądliwości, a nie dla spełnienia obowiązków swego przeznaczenia. Żył ciałem, duch spał, zmysły górowały, a jeżeli sumienie odezwało się czasem głosem wymówki, przygłuszał je starannie zowiąc starym przesądem, z którego otrząsnąć się postęp wyobrażeń nakazuje.

A jednak były tam zarody szlachetnych popędów; wpływ wychowania rodziców wyrył w nim pewne nawyknienia z któremi rozstać się było już niepodobieństwem. Unosił się w nim jakby mgła okrywająca piękny krajobraz, w pośród której mignęła czasem poważna postać ojca kochającego wszystko co piękne i dobre, pełna miłości twarz matki wskazująca niebo. Czasami zdawało mu się, że widzi jak tuląc go do piersi, zowią pociechą, chlubą swego życia. W podobnych razach, acz rzadko trafiających się, Stanisław smutniał, na oczach uczuwał jakby łzę rozczulenia, ale ją ocierał pospiesznie i przywodząc do pamięci wszystkie teorye zmysłowości jego dogadzające, wyśmiewał sam siebie zowiąc głupstwem skrupuły skłaniające go do niemęzkiej tkliwości.

W wykształceniu systematycznie nabytem, byłby zrozumiał, że we wszystkich działach wiedzy ludzkiej jest tylko cząstka prawdy a nie jej ostateczna formuła; że cząstkę tę brać za zasadę swego postępowania, według niej urządzać własne życie, a pomiatać wszystkiem co stanowi spójnię społecznego porządku, jest ogromnym błędem grożącym ruiną i jemu i ogółowi. Stanisław nie miał tej świadomości, coś podsłuchał, domyślił się, dosztukował własnem rozumowaniem i stał się w całem tego słowa znaczeniu..... pozytywistą warszawskim, odbiciem ale potworniejszem towarzysza swego Mieczysława. Był jednak dobrym kolegą, w każdym wypadku dwóch swoich przyjaciół ratował, a choć rachował się z nimi ściśle, zawsze jednak coś tam na niekorzyść jego pozostawało. Przytem myślał o ich przyszłości, Maciusia wyszydzał za niedbałość, Mieczysława za niezaradność, a obu wydrwiwał, Maciusia za zupełne nieuctwo, Mieczysława za zarozumienie. Mimo tego stosunki wzajemne nic na tem nie cierpiały: dogryziono sobie ale się nie pogniewano i kiedy jeden drugiemu dobrze dopiekł, trzeci śmiał się choć był pewny że może zaraz wyśmiany zostanie. Żart też był okrasą ich życia; śmiano się nawet przy pustkach kieszeniowych lepiej jak w obfitości, bo Maciuś jak tylko czuł parę rubelków pryskał w świat i ulatniał jak kamfora pod pozorem różnych nieprzewidzianych interesów, Mieczysław zaś namyślał się jak ich użyć najkorzystniej.

W chwili kiedy tę trójkę przyjaciół wprowadzamy do naszego opowiadania, Stanisław przez całe dwadzieścia cztery godzin był niewidzialny w domu, Mieczysław bez grosza a Maciuś z długami. Bieda ta do tego stopnia im dokuczyła, że choć to już była godzina dziewiąta rano, nie wypito jeszcze herbaty, dla braku węgli i cukru.

Mieczysław siedząc w szlafroku wtulony w fotel i wpatrzony w róg pokoju, gładząc bródkę hiszpańską dumał o rozkoszach rodzinnego życia; Maciuś w bieliźnie nocnej w letnim na niej paletociku i tylko skarpetkach na nogach, siedział na łóżku i coś majstrował koło gitary. Oba zachowywali najzupełniejsze milczenie, tylko Mieczysław stawał się coraz kwaśniejszym, a Maciuś coraz więcej usposobionym muzycznie. Wreszcie zaczął nucić półgłosem jakąś piosenkę starając się dobrać do niej akompaniamentu: Mieczysław syknął niecierpliwie i zwracając się do swego towarzysza rzekł:

— Dałbyś pokój tej muzyce, nie rozumiem nawet jak się możesz podobnemi bzdurstwami zabawiać.

— A i cóż mam robić? oburknął się Maciuś. Niedość że chłodno i głodno, mamże jeszcze jak ty kwasić się i wzdychać.

— Rażą mnie smętne tony gitary, odrzekł Mieczysław otulając się połami szlafroka. Sądzę że względność koleżeńska.....

— O! już ty Żyrafko gadać uczenie to umiesz, przerwał Maciuś, ale robić mądrze ani weź.

— A i cóż mam robić? Lamparta nie widać, gdzieś się załajdaczył.

— Tak, Lamparta, Lamparta, a sam to nie mógłbyś był gdzie rubla pożyczyć żeby było za co kupić węgli, cukru i bułek?

— Mnie nie wypada, kompromitacya taka mogłaby mi zwichnąć karyerę, ale gdybyś ty poszedł.......

— Nie wiem w czem? Buty u szewca a nowych dać nie chciał bez pieniędzy.

— Gdybyś wziął moje......

— Z twoich pajęczych wideł, dobre są na futerały do okularów ale nie na nogi ludzkie.

Mieczysław spojrzał na Maciusia jak bazyliszek, otulił się w szlafrok i coś mruknął, bo w urodę swoją wierzył jak w rozum, Maciuś tym czasem przechadzając się po pokoju mówił półgłosem:

— Nie wypada mu pożyczyć rubla! Arystokrata! Mnie wygania a sam siedzi jak rabin i mruczy. Przecieć ty taki uczony filozof, mówił dalej zatrzymując się przed Mieczysławem, dowodzisz zawsze że w walce o byt wszystko godzi się żeby nie być głodnym, a jak przyjdzie zrobić, to cię nie ma: nie wypada!

Mieczysławowi przebiegła grdyka po szyi jak mysz uciekająca przed kotem, spojrzał ze wzgardą na przyjaciela, machnął ręką i rzekł:

— Co tam z tobą gadać.

— O! ja wiem, że się masz za mądrego, w czem ta twoja wielka uczoność to sam dyabeł się nie domyśli. Gdybym..... ale idzie Praczka, będzie nowa heca, domówił Maciuś przez okno patrząc w podwórze.

— Praczka! przerwał Mieczysław zrywając się, Maciusiu schowam się w szafę a ty odbierzesz bieliznę i powiedz że mnie nie ma.

— Ej! ja tam nie umiem być dyplomatą, powiedz że jutro zapłacisz.......

— A jak bielizny nie zostawi, a ja wyjść koniecznie muszę?

— No, to nie zostawi, dam ci swoją koszulę.

Mieczysław skulił ramion i zasiadł w fotelu.

W tej chwili weszła Praczka, kobieta w średnim wieku schludnie ubrana o twarzy pełnej życia i ręce dobrze spracowanej.

— Dzień dobry moim panom kochanym, odezwała się rezolutnie, cieszę się że zastaję panów w domu, bo wrócę z pieniędzmi. A potrzeba mi ich, potrzeba, chłopcu muszę z naprawy wykupić buciki a dziewczynie trzewiki.

Mieczysław nic nie mówiąc zajął się natychmiast odbiorem bielizny, przeglądając starannie gorsy, mankiety i kołnierze, czy sztywne, białe i należycie wyprasowane. Namarudził się nad niemi, nazrzędził, nakrzywił, nawzdychał ale przyjął, schował do kufra, wyjął potem kluczyki i zamyśliwszy się zapytał Maciusia:

— Mój Maciusiu czy nie masz drobnych.

Maciuś uderzył w struny i zanucił ulubioną piosenkę. Praczka przerzuciła po obu spojrzenie, i domyśliła się kłopotu i westchnęła smutnie.

— Jeżeli nie ma drobnych, rzekła, to ja zmienię grube choćby storublowy papierek.

Mieczysław westchnął, Maciuś uśmiechnął się.

— No, i cóż?—spytała Praczka, proszę o grube kiedy drobnych nie ma.

— Jutro przyjdź pani to zapłacę, mruknął Mieczysław.

— Kiedy dziś gwałtem potrzebuję pieniędzy, dzieciska już tydzień chodzą na bosaka.

— Kiedy tydzień wytrzymały, to jeszcze bezpiecznie mogą dzień poczekać.

— Dobrze panu żartować ale głodnemu czas się bardzo dłuży.

— Oj! co to, to prawda, potwierdził Maciuś, a Mieczysław lękając się aby Maciuś nie wygadał się otwarcie, oświadczył Praczce, że jak tylko drugi ich towarzysz Lampart wróci do domu, to natychmiast sam jej odniesie całą należytość.

— To już wolę zaczekać na pana Lamparta, odrzekła Praczka wtajemniczona w nazwy młodych ludzi, i nie czekając na zaproszenie usiadła na krzesełku z wyłamaną poręczą.

Oba spojrzeli na nią, Mieczysław zmarszczony jak pusta sakiewka, Maciuś uśmiechnięty jakby pieczeń z rożna kurzyła mu się pod nosem:—Praczka z założonemi rękami patrzyła w okno, czasami coś szepnęła, ale znać było że stanowczo postanowiła czekać.

— Hm, hm, hm!— mruczał Maciuś, uczony wyszedł na właściciela nieruchomości, bo ma egzekucyą.

— Ja nie policyant z ratusza, żebym po egzekucyach chodziła, a jeżeli siedzę...

— To pani nic nie wysiedzisz, domówił Maciuś.

Praczka oburzona krzyknęła:

— Cóż to, czy ja kura czy co, żebym wysiadywała?

— Oj! żebyś pani była kurą co wysiaduje pieczone kurczęta z wątróbkami za skrzydła pozakładanemi.......

— Tylko proszę dowcipki schować dla siebie, przerwała z oburzeniem Praczka, bo ja nie zwyczajna fanfaroństwa, żyje z ciężkiej pracy. Krew mi tryska z za paznokci, ale pracuję, nie oszukuję, nie zarywam nikogo....

— Tylko proszę być uważniejszą w wyrażeniach, przerwał Mieczysław zwracając się pół twarzą, bo kiedy pani z porządnemi ludźmi masz do czynienia.....

— Co mi tam! Porządny człowiek to płaci a nic na kredyt nie bierze.

— Ale uczony to zwykle kredytem żyje, wtrącił Maciuś, a pan Żyrawka właśnie jest uczonym,

— Ej! co mi znaczy taki uczony co nie płaci!

— Właśnie to największy rozum wszystko mieć bez pieniędzy!

— Bodaj przepadł taki rozum i zatracił się, wrzasnęła Praczka z największem obuszeniem.. Panowie sobie żartujecie a mnie głowa prawie usycha jak radzić w mojem ubóztwie. Dziecisków kilkoro, starsza dziewczyna przy maglu, ja przy balii, a młodsze jak ptaki w gnieździe wyciągają głowiny i wołają daj i daj! A zkąd tu brać, jak ten urwie, ten nie zapłaci, tamten zaprze albo odwlecze. Oj! ciężka moja dola, prawie życie brzydnie, a jak grosza braknie to mi się zdaje że ziemia usuwa się pod nogami i lecę gdzieś jakby w przepaść na sieroctwo mego biedactwa.

Mówiąc to Praczka rozpłakała się, podniosła fartuszek do oczów. Mieczysław wcisnął czapeczkę na uszy, a Maciuś zakręcił się i pokazując mały krzyżyk złoty zdjęty ze sznureczkiem z szyi, rzekł z niezwykłą rzewnością:

— Oto krzyżyk złoty, jedyna pamiątka po mojej matce z którą się jeszcze nigdy nie rozstałem..... weź go pani i zastaw choć za kilka złotych a jutro go wykupię. No, weźże go pani, weź, bo nie mogę patrzeć jak człowiek płacze.....

Praczka oniemiała, Mieczysław wyciągnął głowę i spojrzał uważnie jakby się chciał przekonać o wartości danego fantu. Maciuś wkładał ciągle w rękę praczki drobiazg tak dla niego drogocenny mówiąc: weź go pani, weź! ale Praczka odsunęła go i ocierając oczy rzekła:

— Nie panie, takiej świętości nie godzi się fantować, choćby przyszło z głodu umrzeć. Biedna jestem ale muszę sobie jako radzić. Poczciwy syn co czci pamięć matki musi być dobrym człowiekiem, to mnie nie oszuka i zapłaci co przynależy choćby nie za siebie......

— No, naturalnie, przerwał Maciuś, ale chciałem panią poratować, bo na prawdę tak wypadło że jesteśmy jakoś bez grosza......

— No, no, a ja myślałam, że to tak tylko z przeproszeniem panów......z udania.

— Licha tam z udania, kiedy nawet węgli nie ma do samowara i my jeszcze bez śniadania.

Mieczysław mruknął coś z niecierpliwością i przymknął oczy jakby ze wstydu.

— I cóż tam mruczysz?—Lepiej powiedzieć że się jest bez grosza, jak kręcić bicze z szachrajskiego piasku.

— Tak panie, uczciwa droga najlepsza, z pustego worka nic nie dobędzie, a ja taka byłam........ale zaradzę temu. Mam w domu węgle to przyniosę....

— Ale daj pani pokój, kto słyszał......

— Garska węgli nic nie znaczy, przerwała Praczka porządkując koszyk z prześcieradełkiem do wyjścia. A jeżeli czego brakuje, może bułek, herbaty, cukru, niech panowe powiedzą......

— Ale mamy wszystko co potrzeba, przerwał Maciuś a Mieczysław spojrzał na niego jakby chciał mu język gwoździami przybić żeby nie paplał.

— Niech się pan nie wstydzi, odezwała się znowu Praczka. Znam ja to dobrze jak w domu czego brakuje. Ten krzyżyk, Boże mój!..... poczciwości tej pańskiej nigdy nie zapomnę, bo chociem biedna ale mam serce, mam....i łzy w oczach.

Praczka z łkaniem objęła w pół Maciusia i z rozczuleniem pocałowała go w ramię, potem w szyję następnie w policzek z jednej i drugiej strony i jakby zawstydzona dowodami swego wzruszenia, wybiegła szybko z pomieszkania.

Mieczysław wyprostował się fałdując twarz kwaśnym uśmiechem, a Maciuś obcierając się połami okrywającego go paletocika, rzekł:

— A to mnie dopiero kobiecisko wycałowało. Żeby kto obcy zobaczył toby Bóg wie co pomyślał.

Mieczysław rozśmiał się szydersko.

— Śmiejesz się mądralu, ale gdyby to była młoda to byś zazdrościł.

— Z podobnego rodzaju indywiduami nie mam zwyczaju przyjaźnić się i zwierzać się przed byle kim, z kłopotów finansowych. Twoja paplanina oburzyła mnie a odmowa przyniesienia węgli rozgniewała. Co ci to szkodziło......

— Eh! ty samolubie, przerwał Maciuś. Ja miałbym biedną kobietę obdzierać dla swojej wygody? Nigdy!—nie jestem uczonym pozytywistą.

Mieczysław podniósł ramion i rozparł się w fotelu:

— Przecieć oddalibyśmy jej i wynagrodzili.......

— Nie wiem czem? Może twoim szlafrokiem i czapeczką ze staremi kaloszami które przerobiłeś na pantofle.

Mieczysław przechylił się w tył i utonął w dumaniu, powtarzając w myśli: ach! jaki ten Maciek głupi! Maciuś zaś dostroił strun gitary i uderzywszy parę akordów, zanucił piosnkę przechadzając się wolno po pokoju. Po chwili stanął przed lusterkiem i zaczął podwiązywać czarną chustką faworyty, zwilżywszy je wprzódy aby się porządnie ułożyły. Mieczysław wyjął nożyk i kostkę i zajął się oczyszczaniem paznokci.

— Czy na bal się wybierasz Żyrafko, zapytał Maciuś, że tak około palcy majstrujesz?

— To ty zapewne idziesz na obiad nieproszony, odrzekł Mieczysław, kiedy się tak starannie zajmujesz faworytami.

Obaj rozśmieli się z wzajemnego dowcipu, zapominając zarówno o dogryzkach jak i przykrem swem położeniu, i gdy Mieczysław narzekał że Lampart tak się gdzieś bałamuci, Maciuś pobrzdąkiwał na gitarze nucąc i przechadzając się.

Po chwili schody zadudniły, drzwi otwarły i pokazał się w nich Stanisław tak niecierpliwie oczekiwany.

— Ha! jesteś przecie Lamparcie, myśleliśmy żeś się gdzie zalampartował. I gdzieżeś się tak bałamucił?

Stanisław w wybornym był humorze, uśmiechnięty, wypogodzony, z kapeluszem na głowie na bakier włożonym, z cygarem w ustach, ale z oznakami pewnego nieładu w całym przystroju jaki zwykle staje się widocznym po nocy na hultajce przepędzonej.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Zatrzymuję się w *Tocoi*, stacyi o godzinę żeglugi od Mandarin'u i wsiadam do woza tramwajowego, który wyrusza przez las do Saint Augustine.

Nim wyjechaliśmy z Tocoi widziałem po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych „wolanty“, oglądane niegdyś w Havannie, na Kubie, gdzie nie znają prawie innych powozów. Są to dwudyszlowe jednokonki; siedzenie wisi pomiędzy kołami i koniem, więc połowa ciężaru spoczywa na koniu, który też musi dźwigać woźnicę, zwykle tęgiego murzyna, w wysokich butach i ogromnym kapeluszu. Widz myśli że cały murzyn składa się z butów i kapelusza. Łatwo pojąć ile cierpi w podobnej uprzęży. Nogi osób w powoziku wiszą w powietrzu. Kubanki i południowe Amerykanki posiadają najzgrabniejsze i najmniejsze stopy pośród ucywilizowanych narodów, łatwo więc wytłomaczyć przyczynę ich zamiłowania w niegodziwych trzęsących wolantach. Nowomodne te powoziki podobały się niektórym moim spółturystom; najęli parę i hejże jeździć po mieście, zanim tramwaj ruszy. Nie jeździli długo, gdyż wolanty omal ich nie roztrzęsły na sztuki. Tylko węgierskie wózki w Galicyi umieją trapić na równi z temi kubańskiemi narzędziami tortury.

Za to wóz tramwajowy toczył się gładko po drewnianych szynach konnej kolei do Saint Augustine. Ta oryginalna kolej przecina bór dziewiczy, istną puszczę leśną, bez jednego chociażby domu przy drodze. Aligatory sypiają czasem na szynach, a czarne niedźwiedzie umykają na głos dzwonka. W nocy odpowie niekiedy kaguar (tygrys amerykański) swoim rykiem na trzask bicza woźnicy. Oprócz przerębu dla drogi nie widzę śladu cywilizacyi, wyjąwszy reklamy poprzyklejane i pomalowane na najtęższych drzewach. Afisze te zachwalają grunta rozmaitych kompanii, hotele, lekarstwa i t. d. i każdy podróżny musi je czytać, chociażby z nudów. Kompania kolei każe też sobie płacić wybornie za to ohydzanie swoich drzew zadrukowaną bibułą.

jak też właściciele Niagary, albo skał Yosemiti liczą drogą za olbrzymie reklamy Sozodontu (wody do zębów) i maszyn do szycia systemu Wilsona, ohydzające te cuda przyrody.

Dziwne ślady zostawia ta nasza przechwalona cywilizacya w pierwszym pochodzie przez ziemię dziewiczą. Ileżto to razy łudziłem się w głębi Australii, żo na bezwodnej równinie, lub w wąwozie niedostępnym prawie, ja pierwszy z białych ludzi stanąłem. Gdzież tam! Oto potrącam nogą o próżną (niestety) butelkę... jeszcze trąci dżinem lub arakiem... więc byli tu przede mną Anglicy. Dotąd nie ufam, czy nawet na szczycie Harney'a, w Czarnych garach, na który wdarłem się Custer'em i kilku amerykańskimi wodzami w mniemaniu, że zdobywamy szczyt nietknięty stopą ludzką, czy i tam nawet nie dostał się przed nami Anglik z butelką. Może na północnym biegunie leży próżna flaszka, abo afisz, pionier anglosaskiej cywiljzacyi, polecający jedyny sos znany narodowi, co wedle Woltera ma 39 religii, a jeden sos tylko.

Wóz jedzie powoli nad kanałem ocienionym palmettami, środkiem bagnisk, porastających roślinnością rdzawej barwy. Saint Augustine rysuje się już w zmierzchu tropikalnym. Dojeżdżamy do najstarszego miasta, w Stanach Zjednoczonych, znanego lepiej światu przed trzema stuleciami, niż dzisiaj. Ważne sceny kolonizacyjne odbywały się tu, nim znano kraje, w których stoją milionowe New-Yorki i Filadelfie. Saint Augustine założyli następcy Kortezów i Pizarrów, hiszpańscy konkwestadorowie.

Na spotkanie naszego woza wybiega pół ludności tej starożytnej, jak na Nowy świat, mieściny. Pijawki nazwane faktorami hotelów rozrywają nasze impedymenta, nie dają nam przyjść do słowa, wpychają w omnibusy i wiozą do miasta. Trąbki woźniców grzmią po nidoświetlonych, ciemnych uliczkach, muły potrząsają dzwonkami; podkowy tętnią po okrągłym bruku godnym Warszawy, starym jak całe miasto. Wiozą nas przez uliczkę tak wązką, że balkony domów stykają się prawie po nad omnibusem.

Kto pierwszy raz wjeżdża do hiszpańsko-amerykańskiego miasta po długim pobycie w angielskich okolicach, doznaje wrażenia, jakoby go przyniesiono do innego świata. Oswojony z nowością i wielkiemi przestrzeniami, nie może pojąć, zkąd się wzięły w Nowym, szerokim świecie, te zaułki, te gmachy poważne, masywne, sędziwe, ten gród, jakoby wykrojony z Andaluzyi lub Nawarry. Wnet jednak poznaje swojskie przedmioty. Z każdego okna wyglądają twarze uśmiechnięte od ucha do uchu, osób uradowanych przybyciem nowej gęsi do skubania. Nawet mieszkańcy rajskiej Florydy i malowniczego Saint Augustine umieją odzierać turystów i tak się już ucywilizowali, że opisując swoje źródła utrzymania, powiadają: „w lecie żyjemy z bananów, a w zimie z północnych gości.“ Gospodarz naszego hotelu tak nas odrazu pokochał, że witał nas prawie ze łzami w oczach.

Wyszedłem na ulicę, gdy inni goście wybierali pokoje, gdyż zawsze ufam w Opatrzność pod tym względem i pozwalam wtrącić swój kufer i siebie do jakiejkolwiek ciemnicy. Tłumy nie snują się po tutejszych uliczkach; źdźbła zielonej trawki wychylają się z pomiędzy kamyków. Bluszcze pną się po domach i balkonach ogromnych; woń pomarańcz owiewa całe miasto; wszystko przypomina mi Sycylię. Lękam się, aby lazaron nie wychylił się z po za węgła tego tam ponurego domu, wyciągając rękę o jałmużnę, lub co gorzej, aby brawo ze sztyletem nie upomniał się o haracz. Nikt się nie zjawia... w Saint Augustine nie znają bandytów, oprócz właścicieli hotelów.

Nasz hotel stoi przy *Plaza de la Constitucion*. Każde amerykańsko-hiszpańskie miasto posiada plaza de la constitucion. właśnie może dla tego, że żadne nie szanuje konstytucyi i prawa. Na każdym takim placu spotkacie drzew cienistych kilkanaście, a pod niemi drzemią, gawędzą i marnują cenne godziny mieszkańcy tych miast próżniaczych.

Trzy wieki upłynęło, jak wspomniałem od założenia Saint Augustine, długa to epoka w gorączkowej Ameryce. Przez te lat 300 drzemała mieścina i nie zmieniła się na włos. Żaden Lallenburg europejski nie przespał w słodszem, niezmienniejszem *dolce farniente* trzy stulecia. Trzy tysiące ludności mieszkało tu stale, jakoby tylko tyle niemowląt się rodziło, ilu starców umierało. Muzyka fal atlanryckich usypiała mieszczan i miasto. Czy słyszycie ją teraz... żałobna ona, i gra marsz pogrzebowy nieustannie na wybrzeżu. Taka muzyka rozmarzy każdą istotę. Nie dziw, że Saint Augustine spało lat 300.

Ale przed 10 laty trafili i do niego Yankesy, upatrzyli w nim klimat uzdrawiający i zmienili je bardziej w tej krótkiej porze, niż Hiszpanie w trzystu latach. Młoty cieślów głuszą już za dnia harmonią bałwauów, tętnią na część wszechmocnego dolara, dobudowują do starego grodu drewniane karawanseraje, tramwaje, nie wiem co jeszcze, wypędzają Morfeusza i dolce far niente. Saint Augustine zmienia się na kąpielowe miasto, a *plaza de la constitucion*, na którym odbywały się miłe Hiszpanom walki byków i milsze *auto-da-fe* heretyków, został ulubionem miejscem przechadzki dla elegantów z rozmaitych stron świata. Cieszę się, że zwiedziłem Florydę zanim najazd cywilizacyi zmiótł całe stare, ospałe Saiut Augustine, nim zmienił malownicze, tradycyami owiane hiszpańskie rudery w prozaiczne, monotonne pałace nowoświatowe.

Teraz jeszcze strzela na wybrzeżu średniowieczny, potężny, czworoboczny far, z lampą na szczycie; niedaleko od niego sterczą mury i baszty „Fortu Marion,“ warowni hrszpańskiego autoramentu, zasługującej na imię „la pucille,“ nakształt Metz'u nim go zdobyli Prusacy, albowiem nigdy nie zdoby to go szturmem lub nie zmuszono do kapitulacyi. Niestety, chcą ją zmienić na dworzec kolejowy!

Nasz hotel mógłby był służyć Cervantes'owi jako model do opisu gospody, w której kawaler Manchi kazał się pasować na rycerza. Miał on głęboką, sklepioną bramę, podwórza wysadzone platanami, krużganki ciemne, kręte, długie, sale sklepione, w których echo kroków na mozajce odbijało się o ściany, miał szare komnaty bez numerów. Był to niegdyś pałac gubernatora... hidalgi o krwi błękitnej. Niebawem zamurują labirynty krużganków, zmienią izby w kwadratowe pokoje gościnne i ponumerują je. Wtedy nie będzie już można spać we Florydzie i śnić o Sewilli.

Za hiszpańskich czasów opasywały Saint Augustine wały niezłomne, a miasto nosiło przydomek *la ciudad sempre fidel*, gdyż odparło liczne oblężenia, trwając w wierności dla korony następców Izabelli.

Yankesi szybko zwalili te mury, potrzebując placów i materyału na budynki. Tylko *Fort Marion* ocalał, a jego mury, których sam Vauban nie powstydziłby się, każą szanować kunszt budowniczy konkwestadorów. Podczas ostatniej wojny domowej odparły one armią północną i artyleryą najnowszą.

Na wyspie oddzielonej od miasta cieśniną morską stoją gruzy innej. równie niegdyś obronnej fortecy. Amerykanie oglądają te wszystkie rzeczy z ciekawością niepojętą dla nas. Wszystko starożytne ma dla nich urok nowości. Trudno znaleźć malownicze ruiny w Nowym świecie. Dokoła ruin wspomnianych widzimy resztki oryginalnej, meksykańskiej fortyfikacyi, w postaci żywopłotu z kolczatych, olbrzymich kaktusów, zwanych „bagnetami“. Zając nie przecisnąłby się przez tę zaporę.

Tutejsza katedra katolicka także zadziwia amerykanów masywnością. Styl jej półmaurytański, a góruje ona nad całem miastem. Więcej w niej materyału, niż we wszystkich protestanckich kościołkach w całej Florydzie. Z jej szerokiej bramy wypływają dotąd każdej niedzieli hymny w słodkiej mowie Cameron'a i wonie kadzidła. Gaj z drzew figowych, granatów i cytryn otacza ten dom Boży, podczas gdy episkopalny kościół tuż naprzeciw razi nagością białych murów. Gdy sinoryty w mantylach przechadzają się po tym gaju, wzdychajcie wy, których nie nauczono brząkać na gitarze i śpiewać ballad hiszpańskich. Tylko taki klucz trafia do serduszek tych istot uroczych!

(*d. c. n*).

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczony przez
Joannę Belejowską.

VII.

Mars.

Porzucimy teraz Ziemię i strefy w których ona się obraca, a zostawiając ją daleko po za sobą, skierujemy się w prostym kierunku ku Marsowi. Gdybyśmy mogli przebyć, z szybkością światła, odległość 37,000,000 mil oddzielającą nas od Słońca, potrzebaby na to ośmiu minut i trzynastu sekund, a że droga jaką opisuje Ziemia tylko o 14,000,000 odległą jest od drogi Marsa, zatem, zawsze z szybkością światła, możnaby ją przebyć w trzy minuty.

Pierwsze wrażenie jakiego doznalibyśmy wkraczając w ten nowy świat, nie byłoby tak zupełnie różne od wrażeń jakie wywiera na nas widok przyrody ziemskiej, gdyż wielka zachodzi analogia między Marsem a naszą planetą. I tam, jak u nas, wybrzeża morskie słuchają odwiecznych skarg fal rozbijających się o nie, bo i tam, jak tu, podmuch wichrów marszczy wód powierzchnię, wytwarzając tym sposobem podnoszące i opadające bałwany. Gdy niebo jest pogodne a atmosfera spokojna, w zwierciadle wód odbija się wspaniałe Słońce i firmament, i gdyby nie odrębny koloryt i dziwny kształt roślin, możnaby łatwo myśleć że znajdujemy się na wybrzeżach morza Śródziemnego lub nad jakiem uroczem jeziorem Helwecyi. Dla uzupełnienia analogii obrazu, nie brakuje tu gór uwieńczonych wiekuistym śniegiem, dolin i kaskad srebrzystych, szumu wiatru po polach, ani miłego ciepła wiosennego słońca; wieśniak europejski którego fale emigracyi rzucają na wybrzeża Australii, gdy nagle ujrzy się w nieznanym kraju gdzie grunt, drzewa, zwierzęta są całkiem różne od widzianych w jego ziemi rodzinnej, nie mniej jest zdziwionym i obcym tej miejscowości, niż znalazłby się nim na Marsie mieszkaniec Ziemi.

Od lat piętnastu poczyniono nadzwyczajne postępy w dokładnem poznaniu tej planety. Obecnie

zbadano ją już nietylko ze stanowiska astronomicznego, ale także pod względem fizycznym, geologicznym, klimatologicznym, meteorologicznym, a nawet i pod względem chemii organicznej. Patrząc na Marsa przez teleskop, może nam się zdawać że z oddali patrzymy na naszą Ziemię, i uzupełniając myślą niedokładność widoku, tworzymy sobie w wyobraźni obraz mieszkańców, których dotąd żadne narzędzia optyczne nie zdołały nam ukazać.

Odnośnie do Marsa jesteśmy w położeniu człowieka, który z wielkiej oddali widzi pędzący pociąg kolei żelaznej. Widzi lokomotywę, wagony, odróżnia nawet ich klasy, a choć nie rozpoznaje ale jednak odgaduje w nich podróżnych. My także widzimy że planeta Mars przebiega swą drogę z większą daleko szybkością niż kuryerski pociąg kolei; odróżniamy dzienny jego ruch obrotowy, wytwarzający na nim dni i noce; dostrzegamy jego lądy, morza, śniegi, zatoki, chmury, atmosferę, słowem cały układ żywotnej jego cyrkulacyi, a choć nie mamy tak silnych teleskopów aby nam ukazały mieszkańców, zastępujemy je logiką, równie jak ów człowiek patrzący zdala na pociąg, równie jak wówczas gdy spostrzegając zdala miasto i stojące w niem gmachy, domyślamy się mieszkańców choć ich dojrzeć nie możemy.

Widziana gołem okiem, planeta Mars błyszczy na niebie jako gwiazda pierwszej wielkości; odróżnia się głównie swym czerwonym blaskiem, który od najdawniejszych czasów zwracał na nią uwagę dostrzegaczy. W najstarożytniejszych rocznikach astronomii, znajdujemy ślady że ta planeta bardzo dawno była znaną, i można wnosić że była trzecią z gwiazd stałych dostrzeżoną przez dawniejszych astronomów. Zapewnie pierwej dostrzegli Venus i Jowisza, z powodu ich niezrównanego blasku.

Znaczne zmiany w odległości planety Mars od Ziemi, spowodowane biegiem dwóch planet po ich drogach, wywołują odpowiednie zmiany w pozornej wielkości tego świata. Wielkość ta zamienia się w stosunku jak 1 do 8, czyli że pozorna wielkość zmienia się od koła mającego 3 milimetry średnicy, do 26 milimetrów średnicy koła. Obliczając tę wielkość pozorną z odległością, wypada iż odpowiada średnicy 6,850 kilometrów, czyli okrągłe 1,700 mil. Zatem obwód Marsa wynosi 5,375 mil. Powierzchnia Marsa wynosi 20 setnych części powierzchni Ziemi; masa przenosi nieco dziesiątą część masy naszej planety. Odległość od Ziemi wynosi 10 do 51 milonów mil geograficznych, a blask jest większy lub mniejszy, odnośnie do znajdowania się jej w większej lub mniejszej od nas odległości.

Zatem Mars jest sześć i pół razy mniejszy od Ziemi, siedm i pół razy większy od Księżyca, trzy razy większy od Merkurego.

Masa jego mogła być obliczoną według zaburzeń jakie wywiera na ruchy Ziemi jakoteż małych planet krążących między jego drogą a drogą Jowisza. Z tego wypada że waży dziewięć razy mniej niż Ziemia. Gęstość Marsa w porównaniu do średnicy gęstości naszej kuli jest blizko o połowę słabszą. Rok Marsa jest prawie dwa razy tak długi jak nasz liczy bowiem 669 obrotów czyli dni gwiazdowych, a zatem 668 ²/₃ dni słonecznych. Równie jak na naszej półkuli dzień liczący 24 godzin, przechodzi o cztery minuty czas obrotu, tak i dzień marsowy jest także nieco dłuższy od obrotu planety, i trwa ściśle obliczywszy 24 godzin, 39 minut i 35 sekund. W każdych trzech latach jeden rok jest krótszy i ma 668 dni, a dwa dłuższe liczące po 669 dni.

Widzimy więc że pod względem ruchu obrotowego, mała bardzo zachodzi różnica między Marsem a Ziemią. Następowanie po sobie dni i nocy, wschód i zachód Słońca i gwiazd, odbywa się tam prawie tak samo jak u nas. Pory roku są jednakowe, zachodzi tylko jedna różnica *co do ich trwania*, równie jak rok są one prawie dwa razy dłuższe. I tak na Ziemi wiosna trwa 93 dni, ziemskich na Marsie 191 dni marsowych; lato na Ziemi 93 dni, na Marsie 181; jesień tu 90 tam 149; zima tu 89 tam 147.

Już przeszło od dwóch wieków astronomowie badają bacznie główne fakta meteorologii marsowej; przypatrują się tworzeniu lodów północnych; spadaniu i roztapianiu śniegów, niepogodom, chmurom, deszczom i burzom tam panującym, powrotowi pięknych dni i wszelkim zmianom pór roku. Dziś wszystko to jest już tak dokładnie stwierdzone, iż astronomowie mogą naprzód oznaczyć formę, wielkość i położenie śniegów północnych, oraz przypuszczalny stan atmosfery, słoty lub pogodę.

Mars otoczony jest atmosferą bardzo podobną do naszej. Pierwszem świadectwem istnienia tej atmosfery, jest przenoszenie się chmur na jego tarczy, gdyż aby chmury mogły się utworzyć i przesuwać z jednego miejsca na inne, atmosfera jest niezbędną. Fenomena meteorologiczne wykazują że atmosfera Marsa jest prawie jednakową jak ziemska, a skład jej chemiczny oznaczony jest przez analizę widmową. Nie ulega zaprzeczeniu że w atmosferze tej jest woda równie jak w naszej, a zielone plamy ukazujące się na Marsie, są to morza i wielkie przestrzenie wody, zupełnie takie jak na Ziemi, Chmury tworzą się tam jak i u nas z pęcherzyków wodnych; śnieg powstaje z wody ściętej zimnem. Co więcej, spektroskop wykazał że skład tej wody jest taki sam jak naszej, więc znajduje się tam wodór i kwasoród.

Pod względem geografii Marsa, ta różni się bardzo od ziemskiej. Na naszej półkuli *trzy części* powierzchni pokryte są wodą, na Marsie przeciwnie jest *cokolwiek więcej lądów niż wody*. I lądy te nie wyłaniają się z wody jak wyspy, gdyż morza tamtejsze są prawdziwie śródziemne i cały świat Marsa można obejść suchą nogą. Obserwując Marsa, ciemne plamy na jego powierzchni uważa się za *morza* a jasne za *lądy*; dla tego iż woda pochłania wielką ilość światła a odbija go bardzo mało, więc grunta pokryte wodą muszą się wydawać ciemniejsze od innych.

Kolor morskiej wody marsowej jest zielonawy, a więc podobny do ziemskiej; grunta przedstawiają barwę ciemno-pomarańczową, prawie czerwoną. Z początku wnoszono że pochodzi ona od atmosfery Marsa, dziś przekonano się że zapatrywanie to było błędne, gdyż ponieważ atmosfera roztacza się nad całą powierzchnią, a zatem i morza i śniegi polarne, musiałyby podobne przedstawiać zabarwienie, co przecież nie ma miejsca. Większość uczonych utrzymuje że kolor ten pochodzi od roślinności tejże barwy, w przeciwnym razie dowodziłby chyba zupełnej jałowości gruntu.

Morza Marsa są już to spokojne już miotane burzą, tylko przypływy i odpływy nie mają miejsca, ponieważ nie ma tam powodującego je Księżyca.

Jest więc w przestrzeni, oddalona o kilka milionów mil od nas, ziemia tak podobna do naszej, w której znajdują się wszelkie żywioły życia, pory roku odpowiednie naszym, dni tylko nieco dłuższe, zobaczmyż teraz co można wnosić o jej mieszkalności i mieszkańcach.

Dociekania filozofii pozytywnej i tegoczesnej statystyki wykazują naukowo, że ciało ludzkie jest produktem planety ziemskiej; jego waga, postawa, gęstość tkanek, waga i objętość szkieletu, długość życia, peryody pracy i snu, ilość powietrza jakiem oddycha i pożywienia jakie przyjmuje, wszelkie funkcye żywotne, takie nawet które wydają nam się najsamowolniejsze, słowem wszelkie żywioły składające maszynę ludzką, są uorganizowane według tejże planety, i odpowiadają w zupełności przestrzen w jakiej żyjemy. Tak więc postać ludzka nie jest arbitralną, jest wynikiem stanu planety, zatem na każdym świecie musi być różna, odnośnie do tak odmiennych na planetach warunków organicznych.

Widzieliśmy że ze wszystkich planet układu słonecznego, Mars najpodobniejszy jest do naszej Ziemi, zatem i objawy życia na jego powierzchni nie muszą być zupełnie odmienne od życia ziemskiego. Analogia zachodząca między tym światem a naszym, musiała spowodować tam jak i u nas i podzielić rozwój organiczny na dwa główne rzędy, roślinny i zwierzęcy. Rośliny czerpiące substancyą swą głównie z powietrza, mają gęstość niższą od gęstości wody, zaś zwierzęta złożone z substancyi w których woda przeważną gra rolę, mają gęstość średnią, nieco wyższą od gęstości wody; na Marsie wszystko to lżejsze jest jak u nas.

Średnia gęstość materyałów z jakich składa się planeta Mars, jest niższą od wchodzących w skład naszej Ziemi, w stosunku 71 na sto, zaś z drugiej strony z objętości i masy Marsa wynika, że ciężar ciał na jego powierzchni jest bardzo mały. Jeźli siłę ciężkości na Ziemi przedstawimy przez 100, na powierzchni Marsa wypadnie 37; tak więc siła ciężenia jest tu najsłabszą ze wszystkich planet układu słonecznego. Człowiek ważący tu 70 kilogramów, na Marsie ważyłby tylko 26 kil. i mógłby przebiedz 50 kilometrów równie bez zmęczenia jak tu przejdzie 20, a za najmniejszem natężeniem muskułów, mógłby wskakiwać na dachy i wierzchołki drzew. Więc choć planeta Mars mniejsza jest od Ziemi, jednak ludzie i rośliny muszą tam być daleko większe, gdyż nie rozległość świata stanowi o rozmiarach istot żyjących na jego powierzchni, ale siła ciążenia odnośnie do warunków miejsca i żywotności. I tak ludzie dwa razy wyżsi od nas z trudnością mogliby chodzić po Ziemi, i najpewniej połamaliby nogi skutkiem silnego przyciągania ziemskiego. Chcąc się silniej utrzymać, potrzebowaliby mieć cztery nogi. Tylko zwierzęta czworonożne mogą przenosić ten stosunek. Zwierzęta znowu żyjące w wodzie, mogą dochodzić wielkich rozmiarów, z powodu właściwej im lekkości jakiej tam nabierają. Królestwo roślinne dostarcza nam pewnych rodzai drzew dosięgających wysokości olbrzymich, z powodu swej nieruchomości, tak więc wzrost istot zależy ściśle i niezbędnie od siły ciążenia.

(d. n.)

Korespondencya z Paryża.

przez Autorkę Kroniki zagranicznej

w Bibliotece Warszawskiej.

Z pomiędzy dzieł historycznych jakie się w tych czasach pojawiły w Paryżu, na szczególną zasługuje uwagę *Historya Florencyi* p. Perrens. Dotąd wyszły trzy tomy, całość jednakże nie skończona. Autor bada zarazem dzieje polityczne rzeczypospolitej florenckiej, rozwój przemysłu i sztuk pięknych, obyczaje i zwyczaje domowe wszelkich warstw społeczeństwa. Ta różnostronność poglądu, nadzwyczaj ożywia dzieło. Szczęściem, minęły już czasy, kiedy wojny, przymierza i przewroty polityczne, stanowiły całą historyą. Wielcy pisarze francuzcy, a mianowicie Angustyn i Amadeusz Thiery utorowali nową drogę; pokazują ludy obok królów i książąt, któremi dawniej trudniono się wyłącznie.

Florencya, tak słynna w dziedzinie sztuki, okazuje od początku dziejów swoich niesłychaną żywo-

tność. Ten nadmiar życia, ktory tworzy wielkich artystów ma też i niebezpieczną stronę. Czternasty wiek zwłaszcza, poprzedzający epokę *odrodzenia*, przedstawia się nadzwyczaj gorączkowo. Wszystko tu kipi, wre, szumi, jakby w olbrzymim kotle! Rzeczpospolita szamocze się na wszystkie strony. Zatargi Gwelfów i Gibelinów mają tu główne swe ogniska. Rycerstwo walczy bezustannie, to z Pizą, to z Genuą, to z Medyolanem. Mieszczaństwo gromadzi kupy złota. Kobiety oddają się najszaleńszym zbytkom, gonią jedynie za blaskiem i zabawą, z zaniedbaniem domowych obowiązków. Autor składa całą winę na mężczyzn, którzy z obawy przewagi niewieściej, odmawiali im systematycznie wyższego ukształcenia.

Panie florenckie spędzały połowę dnia przed zwierciadłem, drugą połowę na przechadzkach i ucztach. Sztukę malowania się doprowadziły do najwyższej doskonałości. Przez długie lata nie widziano we Florencyi ani jednej brunetki. Włosy wszystkich pań połyskiwały złotem, lica ich kwitły barwą róż i lilii. Piersi i ramiona, obwieszone miały sznurami rubinów, dyamentów i pereł. Pyszne pasy ukute ze szczerego złota, ważące po kilka funtów, tak szczelnie obciskały im kibić, że tamowały oddech, zatrzymywały bieg krwi, słowem czyniły z nich prawdziwe męczennice. Dziewczątka ledwie że wyszłe z pieluch, znosiły już podobne tortury.

Młodzież męzka współzawodniczyła w strojach z kobietami, przejmowała ich modę. Płaszczyki aksamitne szamerowane złotem, toczki ze strusiemi piórami, służyły zarówno dla elegantów jak dla elegantek ówczesnych; głowy ich tonęły jednako w szerokiej kryzie koronkowej; rękawy bufiaste, wydęte od ramion, nadawały im zarówno kształt ptaków z rozpostartemi skrzydłami. Mężczyzni wzgardzili suknem, przyjęli aksamit i atłas; wytworniejsi w lecie ubierali się całkiem biało.

Nie pomagały nic ustawy głoszone raz po raz przeciw zbytkom. Kobiety umiały zręcznie obchodzić prawo. W miejsce zabronionego przedmiotu, wymyślały inny, daleko jeszcze kosztowniejszy, ztąd ciągła zmiana w modach.

Rzecz dziwna! te panie florenckie, tak dbałe o blask swej osoby, nie starały się bynajmniej o przyozdobienie mieszkań własnych. Domy ich ciemne, wązkie okna wychodzą na ciemną ulicę, pełne błota i śmieci. Wschody ledwie że ociosane, sprzęty proste, nieomiecione z kurzu. Wielka sala z ogromnym kominem, służy zarazem za kuchnię i jadalnię. O ile wyjątkowe uczty odznaczają się obfitością, o tyle w dnie powszednie stół niewytworny i ubogi. Dla blasku zewnętrznego, poświęcano zdrowie i wygodę.

Ten popęd do zbytku Florentczyków, objawia się zbiorowo w uroczystościach municypalnych, które powtarzają się bez ustanku. Urzędnicy strojni w purpury i pióropusze, występują radni za lada sposobnością. Każde przyjęcie ambasadora lub obcego księcia daje powód do głośnych zabaw. Miasto żegna ucztą wojsko wychodzące do obozu, wita je wspanialszą jeszcze biesiadą. Dzień pierwszy maja, obchodzony bywa uroczyście na powitanie wiosny. Zastawiają wielkie stoły, na wszystkich placach brzmi gędźba, młodzi i starzy pląsają na wyścigi. Z drzew i ganków powiewają złociste banderole. Młodzież odbywa tryumfalny pochód przy kagańcach, najdorodniejszy w gronie, przebrany za Amora. Zimą nowe uciechy. W dzień Trzech Króli wylega z domów wszelka ludność. Magowie przystrojeni z całym przepychem wschodu, ciągną z orszakiem przez ulice. W dniu *Refana* (jak się zdaje w zapusty) wszyscy Florentczycy, tak młodzi jak starzy, tak kobiety jak dzieci zabawiają się strojeniem lalek! Święta religijne wspanialszy jeszcze mają charakter; z pomiędzy nich najuroczyściej obchodzona oktawa Ś-go Jana, patrona Florencyi. Całe miasto pełne blasku i woni, skąpane w promieniach letniego słońca, wygląda jak olbrzymi kosz kwiatów.

Tak p. Perrens maluje florenckie społeczeństwo na kilkanaście lat przed wielkim przewrotem, jaki miał się spełnić pod berłem Medyceuszów i błysnąć światu epoką odrodzenia. Słynna ta doba dziejowa, będzie przedmiotem czwartego tomu nad którym pracuje autor.

Teatr ambigu; przedstawił w tych dniach poraz pierwszy, dramat historyczny w pięciu aktach, pp. Ennery i Cornon, pod tytułem: Sławny proces. Tytuł zrazu, źle nas uprzedził o sztuce, nadużyto dziś bowiem skandalicznych procesów na deskach teatralnych. Byliśmy jednak w błędzie: w dramacie tym nie ma skandalu; akcya potężnie się rozwija, interes do końca wybornie utrzymany. Przytaczamy treść w kilku słowach:

Rzecz dzieje się w maju, 1745 roku, w przeddzień bitwy pod Fontenoy, chlubny dla oręża francuzkiego. Żołnierz nazwiskiem Jan Reynand stęskniony do żony i dziecka, postanawia bądź co bądź odwiedzić potajemnie wioskę swoją, położoną o milę od obozu. Noc zapadła: w połowie drogi słyszy przeraźliwy krzyk i gwałtowne szamotanie się w rowie, po chwili wszystko umilkło. Zbrodnia widocznie popełniona. Jan Reynand idzie dalej, nagle słaby jęk potrąca mu ucho: staje nad rowem... patrzy... człowiek jakiś nieznajomy wyciąga ku niemu obie ręce:

— Jestem hrabia de Mornas, hugenota, wygnaniec, rzecze z wysileniem. Zabójca mój uciekł, posłyszawszy twe kroki. Ratuj mnie bracie: weź te klejnoty i te papiery. Rodzina moja przebywa w Ameryce, odeślij je według adresu. Oto trzysta luidorów dla ciebie. To rzekłszy hrabia skonał.

Jan Reynand pomyślał, że tak kosztowny depozyt, bezpieczniejszy w chacie wieśniaczej, niż w jego żołnierskim tornistrze. Przybiega do domu, opowiada żonie co zaszło. Uścisnął Magdalenę i pięcioletnią córeczkę Adriankę i czemprędzej wraca do półku. Gdy odszedł, zbrodniarz który nie spuścił go z oka, wpada do izby, żąda wydania klejnotów i papierów. Magdalena stawia dzielny opór, dziewczynka, śpiąca w przyległej izdebce, budzi się na krzyk matki, płacząc przestraszona.

— Każ jej milczeć! woła zbrodniarz, powiedz że ojciec wrócił z drogi; inaczej zabiję dziewczynę. Drżąca matka wypełnia rozkaz; Adryana usypia znowu; nikczemnik, aby zbrodnia ukryła się tem lepiej, morduje Magdalenę, zabiera szkatułkę i papiery hrabiego, i oddala się z chaty.

Nazajutrz potem, Francuzi wygrali bitwę pod Fontenoy. Jan Reynand świetnie się odznaczył; wydał chorągiew z rąk Anglikom; należy mu słusznie nagroda. Tymczasem chwytają go, oskarżają o morderstwo żony. Biedny żołnierz broni się jak może, odpiera silnie zarzut. Opowiada co zaszło między nim a hrabią de Mornas. Sąd szydzi z niego, w chacie nie znaleziono żadnego depozytu. Wreszcie badają dziecko. Adryana wyznaje że słyszała sprzeczkę pomiędzy rodzicami. Świadectwo to jest ostatecznem potępieniem. Jan Reynand zasłużył na śmierć; dzięki jednak okazanemu w walce bohaterstwu, złagodzono karę; skazano nieszczęśliwego na galery, okuto w pęta, które ma dźwigać lat dwanaście.

Kilka lat upłynęło od tej pory. Księżna d'Aubeterre wzięła Adryanę, pokochała ją jak córkę własną. Pod okiem opiekunki, sierotka wyrosła na dorodną panienkę. W tymże domu chowa się Walentyna córka hrabiego de Mornas.

Dnia jednego zbrojny oddział, prowadził galerników do Tulonu. Skwar letni dopieka; pozwolono im spocząć w lasku, pod zamkiem d'Aubeterre; Jan Reynand jest pomiędzy więźniami. Adryana przechadzając się w cieniu drzew, spostrzega ich opodal. Przystępuje do nieszczęśliwych. Pamięta ona dobrze i postać i głos ojca. Scena przed sądem stoi dotąd żywo w jej oczach. W miarę jak przychodziła do rozumu, wypadki dnia tego coraz to silniej rysowały się w myśli biednej sieroty. Nie zapomniała, jak skazany ojciec, rzekł ściskając ją przy pożegnaniu.

— Zgubiłaś mnie, mimo wiedzy i woli! Jeżeli kiedyś zrozumiesz to, pamiętaj żem ci przebaczył z głębi serca.

Ojciec i córka poznają się nawzajem. Scena to nadzwyczaj rzewna; przeprowadzona bardzo zręcznie. Galernicy odeszli. Adryanna nie wątpi o niewinności ojca; lecz gdzież znaleźć dowody? Jeszcze lat kilka, a będzie wolnym, ale hańba na wieki przyrośnie mu do czoła.

Podczas gdy córka galernika zalewa się łzami i przemyśla jak zatrzeć ohydną plamę i przywrócić cześć ojcu, do zamku d'Aubeterre, przybywa hrabia Mornas, a raczej nikczemnik, co skradł klejnoty i rodowe papiery hrabiego. Przybywa tu po mniemaną córkę Walentynę, chce ją odebrać, aby tem lepiej udowodnić osobistość swoją. Oddaje Walentynie szkatułkę z klejnotami. Wśród pereł i kosztownych dyamentów, na samem dnie znajduje się skromny naszyjnik złoty. Księżna d'Aubeterre bierze go w rękę, przypomina sobie że przed laty dwudziestu, darowała go Magdalenie, w dniu jej wesela z Janem Reynand. Co znaczy ten naszyjnik? Bandyta plącze się w odpowiedziach. Przyciśnięty wyznaje zbrodnię.

Dramat wybornie odebrany, powszechnie się podobał. Krytycy podnieśli go wysoko; niektórzy powstają na nieprawdopodobieństwo w głównym pomyśle. Łzy widzów świadczą najwymowniej przeciwko tym zarzutom.

W tych dniach przedstawioną będzie w jednym z tutejszych teatrów, opera w trzech aktach naszego ziomka p. Kowalskiego, pod tytułem: Idzi—Bretończyk. P. Kowalski, młody jeszcze, dał się chlubnie poznać od lat kilku w muzycznym świecie paryzkim, jako biegły fortepianista. Jego kompozycye na fortepian znalazły ogólne uznanie; poraz pierwszy dopiero występuje z utworem zupełnie nieznanym. Libretto ma być pełne poezyi — nie omieszkamy zdać sprawę z pierwszego przedstawienia.

Wiadomo jak olbrzymie postępy uczyniła chemia od lat pięćdziesięciu. Francya i Prusy współzawodniczą na tem polu jak i na wielu innych, a jeżeli świat przyznał Prusom palmę w zastosowaniu chemii do przyrządów niszczących, Francya za to umiała ją lepiej zastosować do przedmiotów zbytku i mody.

Henryk Parville, w świeżem sprawozdaniu z postępu nauk ścisłych, mówi właśnie o ostatnich wynikach prac, sławnego chemika Fremy, profesora w szkole politechnicznej. Z pieców jego wyszły w tych czasach prawdziwe rubiny i szafiry. Wprawdzie inni chemicy francuzcy, otrzymywali już te same rezultata, ale dotąd były to maleńkie ledwie próbki; okazy pana Fremy znacznych rozmiarów, mogą być już przedmiotem handlu.

„Drogie kamienie, mówi uczony sprawozdawca

pod względem materyi składowych, nie różnią się wcale od zwyczajnych kamieni jakie zalegają nasze pola; cała różnica leży w tem, że siły przyrody, wyrobiły materyą w odrębny sposób. Dyament jest po prostu węglem, ale węglem skrystalizowanym. Rubin, topaz, szafir, powstały zarówno jak prosta glina ze rdzy aluminium: to glinka, ale skrystalizowana. Ametyst, kryształ skalny, kornalina, agat, jaspis; są po prostu tlenem *silirgum*, krzemionką, ale skrystalizowaną."

Otóż p. Tremy znalazł sposób krystalizowania tych kamieni na wielką skalę. W miejsce zwyczajnych retort, użył wielkich pieców fabrycznych, utrzymywał w nich ogień przez miesiąc cały. Paryzcy chemicy nie wątpią, że przyjdą wkrótce do sztucznego wyrobu dyamentów.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Krótki wstęp. — Szczegóły o wyborze Papieża podług dzieł Nielsena.—Nowe odkrycie w ratowaniu od ognia.— Charakterystyczny rys obyczajowy poszukiwaczy złota w Kalifornii. — Książka o Grotgerze w Wiedniu. — Mniemany *wąż morski* albo *dyabeł morski*.

(Dokończenie).

Czytamy w jednem z pism niemieckich, że w Hamburgu, niejaki Ludwik Scharloch wynalazł nowy aparat sygnałowy co do ratunku od ognia. Wynalazek ten zależy na umieszczeniu dzwonu pod dachem. W razie ognia żar postępuje ku dachowi, a rozgrzany dzwon przy *odpowiednio* urządzonym mechanizmie wydaje dźwięki. Próby robione z tym wypadły pomyślnie, a jeźli w istocie okaże się tak praktycznym, jak mówią, to straże ogniowe będą miały z powyższego wynalazku, dzielnego pomocnika.

* * *

Spotykamy w dziennikach amerykańskich opis zdarzenia, wybornie charakteryzującego poszukiwaczy złota. W Kalifornii, umarł niedawno jeden z najdzolniejszych poszukiwaczy złota. Towarzysze postanowili mu sprawić okazały pogrzeb. Przy mogile więc zebrali się tłumnie, a jeden z towarzyszów zmarłego, począł wygłaszać mowę pogrzebową. Słuchający uklękli około trumny, Mowa była nudna i długa, więc ten i ów z przyzwyczajenia, klęcząc zaczął grzebać palcem w ziemi. Nagle jeden z nich znalazł kawałek złota, drugi, trzeci, to samo, zebranie poczęło się poruszać. Mówca spostrzegł to i zawołał:

— Dzieci! co to złoto jest? A to już skoczyłem mowę!

Odsunięto na bok trumnę, wszyscy rzucili się do wykopanej mogiły, a około wieczora już w tem samem miejscu z tysiąc ludzi dokopywało się złota.

* * *

W Wiedniu niedawno ukazała się zajmująca książka nakładem Rosnera p. t. „Arthur Grotger, ein reminiscenz von Aren." Rzecz dzieje się w 1862 r. W dziełku tem autor opisuje pierwszą miłość wielkiego artysty. Czytelnik, zwłaszcza też polski, znajdzie tam wiele ciekawych szczegółów.

* * *

Od pewnego czasu pojawiają się wiadomości w różnych dziennikach europejskich o potworze, którego nazywają *wężem morskim*, *dyabłem morskim* i t. p. Tymczasem podług specyalnej opinii naturalistów. potwór ten nie jest żadnym nowo odkrytym wężem morskim, lecz znanym w zoologii oddawna *mięczakiem głowonożnym* zwanym *sepią*, który żyjąc na morzu i chroniąc się od swych nieprzyjaciół, wypuszcza z siebie ciecz czarną znajdującą się w osobnym worku, zaciemniając nią w około siebie wodę; posiaon z przodu głowy *dziesięć ramion* zaopatrzonych smoczkami, a z tych *dwa* dłużne i ma szczęki czarne, rogowe, podobne do dzioba papugi. Tego *mniemanego* węża morskiego, można widzieć wypchanego we wszystkich prawie muzeach zoologicznych.

* * *

Nie omylimy się zapewne, gdy powiemy, że nie ma narodu na kuli ziemskiej, któryby tak umiał czcić swoich wielkich ludzi, jak Francuzi. Świeżo oto teraz Rada municypalna Paryża, uchwaliła umieścić w ogrodach, w lasku Bulońskim i na polach Elizejskich, kamienne biusty historyków, którzy w rozmaitych epokach opisywali zwyczaje i obyczaje Paryżan; oprócz tego na wzgórzach Chaumont umieszczone będą grupy przedstawiające wypadki historyczne zaszłe w stolicy Francyi od najdawniejszych czasów aż do dni obecnych.

* * *

Jeśli już kto najlepiej potrafi być oryginalnym w małych rzeczach to niezawodnie Anglik. Dzienniki londyńskie donoszą i to z całą powagą, że pewien Anglik obliczył ilość włosów znajdujących się na głowie ludzkiej, ma się rozumieć w stanie normalnego porostu. Według tedy tego obrachunku przeciętniowo na głowie, ma się znajdować 120 tysięcy włosów. Łatwo jest naturalnie, obstawać przy swojem, bo jeśli kto nie wierzy, uczonemu statystykowi, to niech sam przeliczy. Z powodu podobnej statystyki, ciekawą spotykamy wiadomość, zaczerpniętą z urzędowych źródeł, że w całej Francyi w 1876 r. było wszelkiego rodzaju budynków 8,630,000, które posiadały 59 milionów okien i drzwi.

W sprawie wydawnictwa jubileuszowego „Wyboru pism" J. I. Kraszewskiego.

Uwzględniając życzenie ogółu, a zwłaszcza w tej jego części, która posiada już wydanie lwowskie powieści Kraszewskiego, komitet, czuwający nad wydawnictwem jubileuszowem, po porozumieniu się ze czcigodnym autorem, poczynił pewne zmiany w wyborze dzieł, wejść mających do rzeczonego wydawnictwa.

Wybór ten rzeczywiście rozliczne przedstawiał trudności. Musiano najprzód wziąć na uwagę stronę techniczną i obliczyć ściśle, aby objętość prac wybranych odpowiedziała zakresowi 15-tu tomów. Powtóre, wobec wydania lwowskiego, które, bądź co bądź, rozeszło się w kilku tysiącach egzemplarzy, wypadało, dla samej już pokupności zamierzonego wydawnictwa jubileuszowego, baczyć na to, aby do nowego wydania weszły ile możności pisma nieobjęte owem zbiorowem wydaniem lwowskiem. Nareszcie konieczność zmuszała do rachowania się z prawami firm księgarskich, które znaczną część nowszych zwłaszcza dzieł Kraszewskiego na czasową nabyły własność. Do takich należą między innemi: *Brühl, Hrabina Kozel, Czasy wojny siedmioletniej, Morituri Resurrecturi, Ostatnie chwile księcia wojewody* i t. p., oprócz całej seryi wychodzących obecnie *Powieści historycznych* sędziwego autora; świeżo zaś nadeszła nawet protestacya znanej firmy co do pomieszczenia *Witoloraudy*.

Łatwo zrozumieć, że tyle sprzecznych względów i interesów niemały stanowiło szkopuł w swobodnym wyborze pism do wydawnictwa jubileuszowego. Komitetowi przeto nie pozostawało nic innego, jak godząc w miarę możności różnorodne wymagania, uczynić wybór *względnie najlepszy*. Ostatecznie więc, zamiast dzieł ogłoszonych już w pewnej liczbie prospektów, do wydawnictwa jubileuszowego wejdą dzieła następujące:

Rzym za Nerona. — Półdyable weneckie. — Dziś i lat temu trzysta. — Historya o Jonaszu Korczaku i pięknej cześnikównie. — Sfinks. — Powieść bez tytułu. — Dola i niedola. — Czarna perełka. — Szaławiła. — Jasełka. — Chata za wsią. — Król i Bondarówna. — Pamiętnik Mroczka. — Starościna bełzka. — Dwa światy.

Tym sposobem tylko dwie powieści, to jest „Chata za wsią" i „Dwa światy," powtórzone zostaną z wydania lwowskiego, inne zaś wymienione tu prace, pierwszorzędnej także wartości, po większej części są dziś wyczerpane, a wydrukowanie ich nanowo niczyich praw osobistych nie narusza.

W końcu komitet podaje do powszechnej wiadomości, że wydawca, widząc obficie płynącą prenumeratę, a temsamem rachując na odbyt znakomitej liczby egzemplarzy, uznał za możliwe cenę po 50 kop. za tom, czyli ze całość 15-to tomową rs. 7 kop. 50, oznaczyć nietylko dla prenumeratorów „Tygodnika Illustrowanego" i „Biesiady Literackiej," *ale dla ogółu całego, bez żadnego wyróżnienia.*

Warszawa, d. 14 Grudnia 1877 r.

Członkowie Komitetu wydawniczego:

Feliks Fryze. Konstanty Górski. Józef Hiż. Ks. Adam Jakubowski. Ludwik Jenike. Ludwik Kolnarski. Wincenty Korotyński. Edward Leo. Stanisław Lesznowski. Władysław Maleszewski. Antoni Nagórny. Maurycy Orgelbrand. Adam Pług. Stanisław M. Rzętkowski. Zygmunt Sarnecki. Gustaw Sennewald. Ludwik Spiess. Filip Sulimierski. Wacław Szymanowski. Gracyan Unger. Julian Wieniawski. Robert Wolff. Kazimierz Zalewski.

Nowe wydawnictwa.

Biblioteka dla młodzieży składająca się z przekładu powieści niemieckiego pisarza Fr. Hofmana, wychodzi nakładem księgarza w Brodach Rozenheima z głównym składem w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa. Dotąd publikacyi tej wyszło tomików 10 i każdego cena wynosi kop. 36. O ile sądzić można ze sprawozdań pism galicyjskich, wybór powieści tych jest bardzo staranny i ogólnie zalecany. Obszerniejsze własne sprawozdanie pomieścimy później w Tygodniku.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 8 (20) Декабря 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 51.

(Dokończenie).



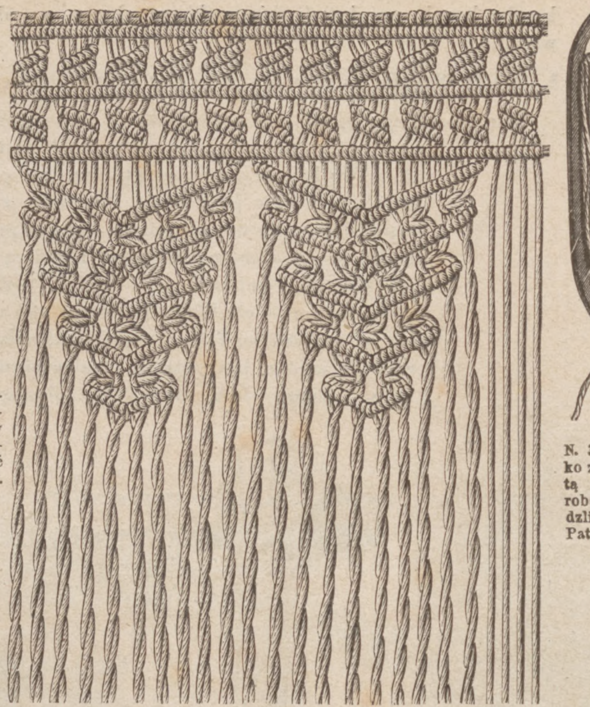
N. 1. Stoliczek okrągły z haftowaną serwetką oszytą frendzlą macramé. Patrz ryc. 4—6.

N. 12 i 17. Suknia z vêtement i odznaczonym kaftanikiem.

Na rycinie 17 załączyliśmy w małym formacie wskazanie kroju vêtement, dochodzącego z tyłu aż do dołu sukni. Kra;ąc z wązkiego materyału potrzeba do przodu połączonego z bokiem(a) dodać dla otrzymania potrzebnej szerokości klin *b*, który zbytecznym jest przy materyale szerszym. Długi bryt tylny, oznaczony literą *c*, podany jest w całej szerokości i przyszywa się do klina *b*, sfałdowanego do 80 cent. w ten sposób iż u dołu wystaje gładko na 26 cent.; górny brzeg przez złożenie w kontrafałdę zwęża się do 10 cent. i składając gwiazdkę do gwiazdki i dwukropkiem do dwukropka łączy się z plecami, zakończonemi 5 cent. szerokiem przybraniem, odznaczającem na około kaftanik. Przy plisce dane jedwabne wypustki; plisowanie dane z przodu sukni liczy 14, przy vêtement 12 i 9 cent. szerokości. Suknia ta była odrobiona z ciemno-popielatego wełnianego materyału *neige*. Do zapinania vêtement służą guziki z konchy perłowej.



N. 2. Czółenko do nawijania nitki przy robocie frendzli macramé Patrz ryc. 3.



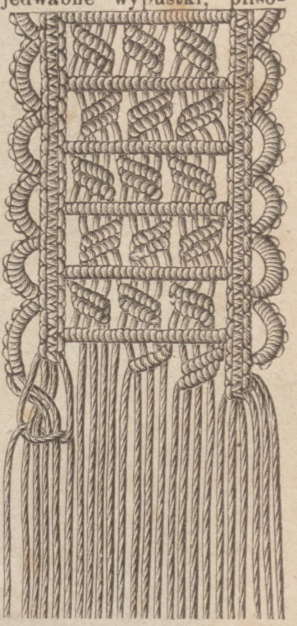
N. 4. Frendzla robotą macramé, do przykrycia na stolik ryc. 1.



N. 3. Czółenko z nawiniętą nitką do roboty frendzli macramé Patrz ryc. 2.

N. 13. Ubranie podróżne z długim paletotem.

Suknia z ciemno popielatego materyału, zakończona szeroką, plisowaną falbanką, przykryta jest długim paletotem z cie-



N. 5. Torsada robotą wiązaną macramé do ryc. 1.



N. 6 Deseń haftu na okrągłą serwetkę ryc. 1.



N. 7. Kapelusz z szerokiem z przodu przeciętem rondem.

kami z konchy perłowej; kieszonki przybrane są odpowiednio.

N. 15 i 18. Suknia princesse z trenem z oddzielnej części.

Ciemno-zielony gładki i w adamaszkowy deseń materyał, użyty na suknię przedstawioną na ryc. 15. Wzdłuż przodu naszyte są dwa pasy deseniowe u dołu po 14 cent. szerokie, zwężające się stopniowo ku górze; pas te przechodzą przez ramiona na plecy i kończą się pod kokardą nad trenem. Środek przodu między pasami jest lekko bufowany lub ułożony w poprzeczne fałdy; zapięcie urządzone niewidocznie z lewej strony pod naszyciem pasa. Przód i boki sukni zdobi falbana 12 cent. szeroka, część dodana na tren, 58 cent. długa jest bez falbany. Rycina 18 załącza krój princesse w maleńkim formacie, na którym jednak są wypisane miary długości i szerokości; tylko do fałdowanej środkowej części przodu trzeba dodać 44 cent.

N. 16. Suknia z vêtement.

Podane na ryc. 16 ubranie wykończone jest z dwojakiego materyału: na spódnicę użyty dyagonal ciemno-śliwkowego koloru, na vêtement zaś mięsisty wełniany materyał tego co suknia koloru. Falbanka przy sukni liczy 11, przy vêtement 5 cent. szerokości.

N. 19—20. Chustka robotą na drutach, szydełkową i na widełkach.

Materyał: włóczka mohairowa (cieniutka świecąca).

Chustkę taką można stosownie do gustu odrobić z włóczki białej, kolorowej lub mieszając dwa kolory; długość wynosi 124 cent. szerokość zaś 112 ale miara ta może być dowolnie zmienioną. Jak to widać na ryc. 20 tło złożone jest z idących naprzemian pasów deseniowych, robotą szydełkową i na widełkach i gładkich pasów robionych na drutach. Rycina 19 przedstawia w naturalnej wielkości pas deseniowy i sposób przywiązania frendzli, która przeciąga się przez pikoty torsadki na widełkach. Robota pasa zaczyna się od listka złożonego z pięciu ząbków, zajmując 1 o. śc. w pikot torsadki * robić 13 o. pow., 1 o. ści. w następny pikot torsadki, co tworzy pierwszy ząbek, na drugą połowę robić 5 o. pow. zaczepionych w 6-ste z 13 o. pow. Cztery następne ząbki wymagają po 6 o. pow., 1 o. śc. w trzeci pikot, 5 o. pow. i znów 1 o. śc. w 6-ste z o. pow.; po zrobieniu 5 ząbków robota się odwraca i listek zakończa się 1 sł. zajętym w 6-ste z 13 o. pow. robota znów się odwraca i robi się 7 o. pow., 1 o. śc. w następny pikot i 5 ząbków po trzy o. pow. zaczepionych 1 o. śc. w pięć z kolei po sobie idących pikotów. Powtarzać od*; w tenże sam sposób odrabia się listki z drugiej strony torsatki. Z brzegów pas zakończony jest prostym rzędem torsadki przyrobionej jednym rzędem roboty szydełkowej, który składa z 1 o. śc. w pikot torsadki dalej* 4 o. pow., 1 o. śc. w 5 o. ząbka z 7miu o. pow. w środkowym pasie, 4 o. pow., 1 o. śc, w trzeci pikot torsadki, 4 o. pow.. 1 o. śc. w trzecie o. ząbka z siedmiu o. w pasie środkowym 4 o. pow., 1 o. śc. w trzeci pikot torsadki. Dalej 2 o. pow. 1 o. śc. w środkowe o. ząbka z trzech o. pow. w pasie środkowym, 2 o. pow. 1 o. śc. w drugi pikot torsadki i trzy razy po 1 o. pow. i 1 o. śc. w środkowe o. trzech następujących ząbków, 1 o. pow. i 1 o. śc. w następny pikot torsadki, 2 o. pow. i 1 o. śc w środkowe o. ząbka środkowego pasa, 2 o. pow. i 1 o. śc. w drugi pikot torsadki. Powtórzyć od*. Pasy na drutach robione są zupełnie gładko tam i napowrót; po skończeniu zszywają się z pasami szydełkowemi.

mnego materyału *mousse*, podszytym i obłożonym futrem. Wielki w szpiczaste zęby ścięty z przodu kołnierz i kieszeń aksamitna naszyte są raz za razem sutaszem jedwabnym; duże szmuklerskie guziki służą do zapinania przodów. Kapelusz filcowy ubrany aksamitem, piórami i gazowym woalem.

N. 14. Sukienka princesse dla małej dziewczynki. Krój znajdą czytelniczki na poprzednich arkuszach z krojami.

Odszyta jest z ciemno-granatowego wełnianego materyału, zapinana z tyłu na guziki, zakończona u dołu plisowaniem przytrzymanem pliską. U dołu przód założony jest w poprzeczne fałdy, kończące się przy szwie bocznym ozdobionym wypustką; wzdłuż przodów i pleców dane przybranie w formie bretelek objętych wypustkami, zakończonych u dołu kokardami z wstążki repsowej i guzicz-



N· 9. Kapelusz filcowy.



N. 11. Ubranie spacerowe z krótkim paletotem.

N. 12. Suknia z vêtement i odznaczonym kaftanikiem. Krój vêtement. Patrz ryc. 17.

N. 13. Ubranie podróżne z długim paletotem.

N. 14. Sukienka princesse dla małej dziewczynki.

N. 15. Suknia princesse z trenem z oddzielnej części. Krój patrz ryc. 18.

N. 16. Ubranie z vêtement.

a po za niemi naszyta aż do ramienia pasmanterya jedwabna przerabiana perełkami. U dołu rękawa dane zęby aksamitne i jedwabne plisowane, zwrócone do ręki. Skromne przybranie jakie widzimy na rękawie ryc. 22 łatwo dodać bez szczególnego opisu.

N. 21—22 Rękawy do sukien.

Rycina 21 przedstawia rękaw do sukni z materyi faille ubieranej aksamitem; odpowiednio do tego przy zewnętrznym szwie rękawa u dołu dane są dwa zęby aksamitne, objęte wypustką jedwabną, przez które przewleczona jest wstążeczka zakładana w pukle, zwrócone na dwie strony.

Na wewnętrznym brzegu rękawa dane dwie kokardki

N. 23 Przykrycie na kinkiet.

Podstawę przykrycia stanowi wierzch od małego pudełeczka do zapałek, powleczony wewnątrz i zewnątrz atłasem kolorowym u dołu dana falbanka z wstążki 4 cent. szerokiej, której przyszycie przykrywa szlaczek wyszywany na kanwie srebrnej papierowej, podług ryc. 10 w Nrze 51 Tygodnika. Zwierzchu dany jest kwadracik z takiejże kanwy, ozdobiony wyszyciem nitką złotą i jedwabiem takiego koloru jak w szlaczku, podłożony pikowanym atłasem i zakończony na rogach kwaścikami. Do podnoszenia przykrycia przytwierdzone jest maleńkie kółko mosiężne.

N. 24. Szkatułeczka na marki pocztowe, ozdobiona z boków szlaczkiem wyszytym perełkami podług deseniu ryc. 11 w Nrze 51 Tygodnika.



N. 8. Kapelusz aksamitny z bufowaną główką.

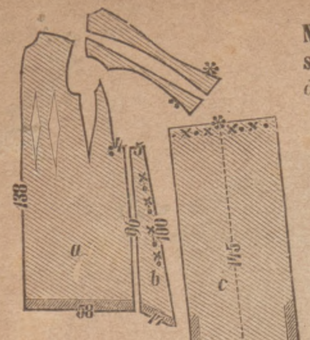
N. 25—26. Dwa fartuszki.

Odszyte są z czarnego jedwabnego repsu, podług kliniastej formy i liczą po 65 cent. długości a 74 cent. szerokości dolnej i 22 górnej.

N. 25. Fartuszek z haftowanym wolantem. Na wolant potrzeba skośnego kawałka materyi 12 cent. szerokiego, wyciętego u dołu w zęby, oszyte 3 cent. szeroką frendzlą i wyhaftowanego jedwabiem; dwie plisy po 4 cent. szerokie nad któremi dany sutasz jedwabny przysłaniają przyszycie wolantu. Na ładną kieszonkę potrzeba haftowanego kawałka materyi, 20 cent. długiego, założonego w kontrafałdę podług ryc. 25, brzegiem kieszonki podszyta koronka; kokardy z wstążki repsowej, 6 cent szerokiej, dopełniają przybrania.



N. 10. Zarzutka koronkowa do teatru lub na koncert.



N. 17. Wskazanie kroju vêtement do ryc 12.

N. 26. Fartuszek z frendzlą z perełek.

Oprócz 8 cent. szerokiej, czarnej jedwabnej frendzli, przerabianej perełkami i clair de lune, fartuszek ten zdobi płaska riusza, układana w kontrafałdy, z prostego 10 cent. szerokiego kawałka materyi, przyszyta u góry w nagłówek 1 cent. szeroki. Kieszonka 13 cent. wysoka, w górze 14, u dołu 6 cent. szeroka uplisowana jest z prostego kawałka materjału i zakończona kokardą z wstążki 4 cent. szerokiej.

N. 27 — 28. Bukiecik do głowy i opaska na szyję.

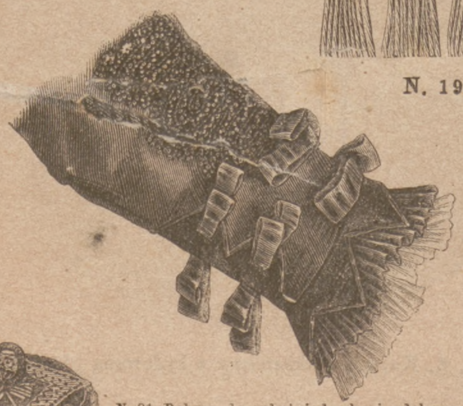
Bukiecik z drobnych ułożony kwiatów, przytwierdzony jest do szpilki podwójnej, ażeby z łatwością można go było przypinać do głowy bez potargania włosów. Ładną nowość stanowią dla młodych osób opaski na szyję, z kolorowej wstążki serge $1\frac{1}{2}$ cent. szerokiej która związuje się z tyłu w kokardę z końcami po 80 cent. długiemi a z przodu ma kokardkę przepiętą bukiecikiem kwiatów odpowiednich do tych jakie służą do głowy. Opaski takie stosowne są zarówno przy kołnierzykach jak do sukien dekoltowanych.

N. 29. Ekran ozdobiony haftem i aplikacyą z kretonu.

Składa się z trzech ruchomych ścianek (146 cent wysokości a 150 szerokości) z ramkami złoconemi. Za tło służy atlas szafirowy na którym dana aplikacya wycinana z kretonu i przyszywana jedwabiem; dla większego efektu niektóre cienie w kwiatach, żyłki i łodyżki dane są wypukle.



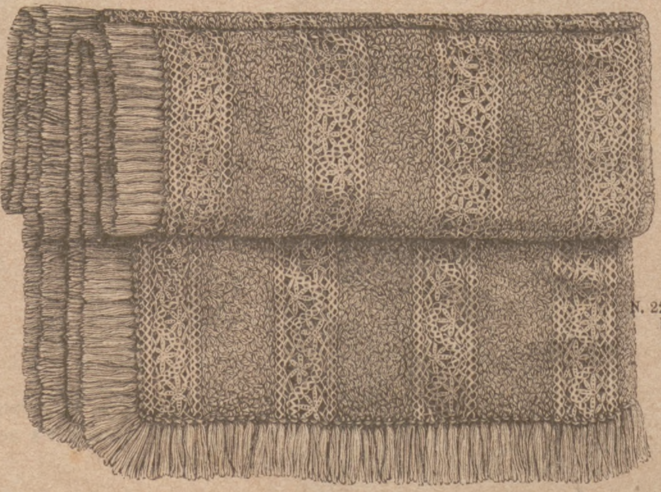
N. 19. Pas robotą szydełkową z torsadką na widełkach do chustki ryc. 20.



N. 21. Rękaw do sukni jedwabnej zdobny aksamitem, kokardami i pasmanteryą.



N. 23. Przykrycie na kinkiet. Patrz ryc. 10 w N-rze 51.



N. 20. Chustka w pasy szydełkowe i robione na drutach. Patrz ryc. 19.



N. 25. Fartuszek zdobny haftowanym wolantem.



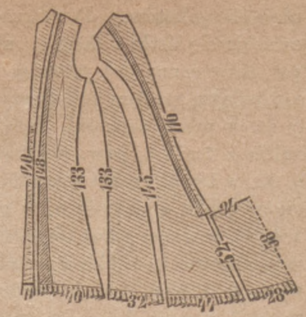
N. 27. Opaska na szyję. Patrz ryc. 28.



N. 28. Bukiecik do ubrania głowy.

Przepisy kuchenne.

Szczupak z rożna.

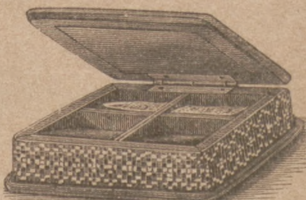


N. 28. Wskazanie kroju sukni princesse ryc. 15.

Dużego szczupaka ogolić ostrożnie, aby nie pokaleczyć skóry, osolić z wierzchu i wewnątrz, wątróbkę nacisnąć sokiem z cytryny, polać ma[illegible]n, obsypać bułeczką, włożyć na pow[illegible] środek, jeżeli jest mleczko, podobnie z niem postąpić; brzuch zaszyć lub zaszpilić, przymocować do rożna szpagatem; przyrządzić trochę oliwy, octu; sok z jednej cytryny, z kwiatem muszkatołowym i winem. Polewać tem szczupaka, i piec przy wolnym ogniu, gdy skórka zacznie pękać, będzie to znakiem, że już upieczony. Wtedy obsypać go tartą bułeczką; zdjąć z rożna na półmisek, rozetrzeć kilka surowych i kilka ugotowanych żółtek, przecedzić do tego sos, pozostały od smarowania szczupaka, dodać łyżkę cukru, zagotować, i polać tem rybę.



N. 22. Rękaw do sukni zdobny falbanką plisą i guziczkami.



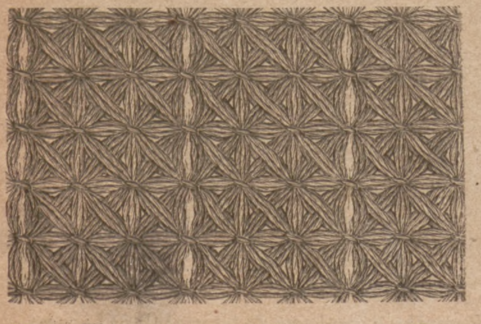
N. 24. Szkatułka na marki pocztowe. Patrz ryc. 11 w N. 51.



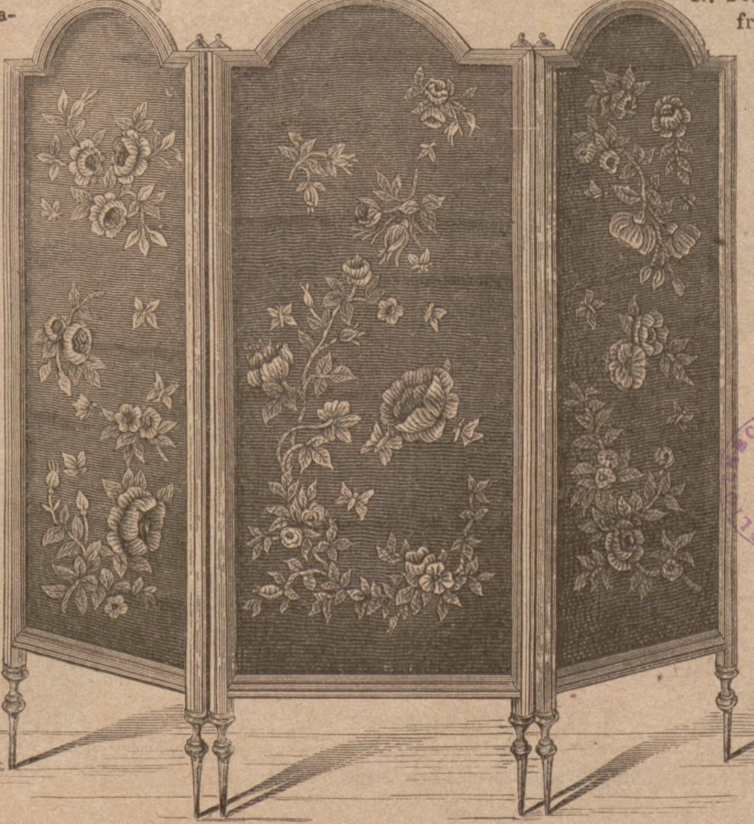
N. 26. Fartuszek zdobny szeroką frendzlą i riuszą z materyi.

Szczupak opiekany z sosem.

Pokrajać wyprawionego szczupaka na małe dzwonka, zamarynować w oliwie, soku cytrynowym, drobno usiekanej pietruszce, soli z muszkatołową gałką. Przed usmażeniem, posypać tartą bółką, usmażyć na maśle, ułożyć na półmisku. Łyżkę masła zaprażyć z dwiema łyżkami mąki, rozebrać dobrą kwaterką śmietany, dodać kwaterkę postnego odwaru, wcisnąć soku cytrynowego; nadto wrzucić talarki cytryny, obrawszy ją do czysta ze skórki i pestek, które goryczy dodają; dosypać miałkiego cukru zagotować raz jeden i polać ułożonego na półmisku szczupaka. Masła nal eży tyle od razu dodać, aby się szczupak usmażył, bo dokładając potrochu, przeszkadza jego zrumienieniu.



N. 30. Tło robotą w ramach do ryc. 20 w N. 51.



N. 29. Ekran ozdobiony aplikacyą z kretonu.



N. 31. Szlak do ryc. 22 w N. 51.